



# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu

---

## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rb. 10  
Półrocz. (26 tom.) „ 5  
Kwartal. (13 tom.) „ 2.50  
Za odnozenie do domu 15 kop. kwart.

Z PRZES. POCZT.

Rocznie (52 tomy) rb. 12.60  
Półrocz. (26 tom.) „ 6.30  
Kwartal. (13 tom.) „ 3.15

Cena 55 kop. — w prenum. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop

---

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . . rb. 6 kop. —  
Półrocznie (za 26 tomów) . . . rb. 3 kop. —  
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . rb. 1 kop. 50.

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

---

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI.

Wydawca: KAZIMIERA GADOMSKA.

FILIA W ŁODZI: Księgarnia Stanisława Olczaka, Przejazd 48

FILIA W AMERYCIE: Polish Book Importing Co. In. New-York

D. MEREŻKOWSKI

# MICHAŁ-ANIOŁ

historyczna opowieść

przekład z rosyjskiego z upoważnienia autora

**Wacławy Kiślańskiej.**



D. MEREŻKOWSKI.

---

# MICHAŁ ANIOŁ

HISTORYCZNA OPOWIEŚĆ.

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO  
Z UPOWAŻNIENIEM AUTORA

WACŁAWY KIŚLAŃSKIEJ

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

Biblioteka Dzieł Wyborowych  
WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11

<http://rcin.org.pl>



20.511

# MICHAŁ ANIOŁ

HISTORYCZNA OPowieść.

## I.

Wiosną, 1506 r., połowa placu przed starą, jeszcze nie przebudowaną bazyliką św. Piotra, była zarzucona olbrzymimi złomami kararyjskiego marmuru; lśniły one na słońcu niby wielkie usypiska śniegu, błękitniejąc w cieniu. Codziennie morzem, do Ostyi, a następnie Tybrem aż do przystani rzymskiej, służącej dla wylądowania, sunęły wciąż nowe barki z marmurem. Zrzucone złomy zawałaly przestrzeń aż do kościoła św. Katarzyny, a także między kościołem, a wąskim przejściem, wiodącym z dworca Watykanu aż do twierdzy św. Anioła. Od rana do późnego wieczora skrzypiały koła ciężkich wozów, zaprzężonych wołami i bawołami, słyhać było okrzyki poganiaczy i stukaly młoty kamieniarzy.



Rzymianie, mający zdawna wkorzenione zamiłowanie do widowisk, tłumami zbierali się w Borgo, by radować oczy temi olbrzymiemi przygotowaniem. Chodziły po mieście różne słuchy, lecz pewnem było jedno: oto papież Juliusz II zamówił u florenckiego rzeźbiarza i budowniczego, Michała Anioła Buonarotti, olbrzymi grobowiec, jakiego nie dostąpili ni dawni cesarzy, ni wodzowie.

Na wysokości trzechpiętrowego mauzoleum, otoczonego karytydami i allegoryami wszystkich sztuk i nauk, marmurowymi kolosami i tytanami, pośród których miał zasiąść Mojżesz długobrody, podobny do dwurogiego demona, gigant gniewny, gotowy rozbić swe przykazania—miały być wzniesione dwie rzeźby: olbrzymia Cybella, bogini ziemi, oplakująca śmierć papieża, bolejąca nad przejściem jego do innego świata, oraz Uranja, władczyni nieba—obie zaś miały podtrzymywać trumnę Juliusza.

Ludzie bogobojni uważali podobny pomysł za bluźnierczy—jakże to, dwie pogańskie boginie miały na barkach swych trzymać sarkofag namiestnika Chrystusowego, tego Boga, który urodził się biednym na słomie, wśród pastuszków, by ludziom głosić ukochane ubóstwo.

Dla pomieszczenia nowego grobowca, starożytna świątynia chrześcijańska, bazylika Piotrowa, okazała się zbyt małą i ciasną: Juliusz, nie cofając się przed zburzeniem tysiącletnich murów świątyni, zbudowanej jeszcze za Konstantyna, postanowił wystawić nową, bardziej wspaniałą i obszer-



ną. Całą tę sprawę oddał w ręce swego ulubieńca, człowieka gotowego na wszystko, roztropnego, usłużnego Bramante z Urbino, byłego nadwornego architekta, księcia Ludwika Moro.

Gdy pewnego razu stary wieśniak z Kampanii, po kilkunastoletniej niebytności swej w Rzymie, zaszedł do bazyliki dla modlitwy i ujrzał w jakim opuszczeniu i poniewierce znajduje się stara świątynia, nie mógł powstrzymać łez. Kurz wielką chmarą podnosił się z pod drewnianego rusztowania, na stosy wapna, śmiecia, zrzucone były połamane kolumny z porfiru, grobowce dawnych błogosławionych kościoła Chrystusowego były zburzone, prochy ich oddane na wiatr, a mozaiki, nad którymi pracowały całe pokolenia zręcznych majstrów, rozbijały teraz młoty najemników i, żal brał patrzeć, jak delikatna, drogocenna ich powierzchnia rozsypuje się pod ciosami kamieniarzy. Bramante nie oszczędzał niczego, przed niczem się nie cofał. Nowi ludzie dawali fundamenta pod nową świątynię.

Dogadzając samowoli papieża, architekt zmuszał robotników do pracy nocą: przy świetle latarni przygotowywano cegły, gaszono wapno, nakładano cement, aby za sprawą, jakoby czarodziejską, wyrastały przed Juliuszem, jak z pod ziemi, nowe mury. Cudowny jednak budowniczy niewiele troszczył się o trwałość gmachu, chodziło mu o to jedynie, by oszukać niecierpliwość swego rozkazodawcy.

Równie, jak budowniczego, przynaglał papież rzeźbiarza. Rzymianie wskazywali jeden drugie-

mu, za kościołem św. Katarzyny, most zwodzony, łączący korytarz Watykanu z domem i pracownią Michała Anioła. Juliusz mógł każdej chwili, dniem i nocą, nie zauważony przez nikogo, przychodzić do artysty, gawędzić z nim na osobności, śledząc postępy roboty. Prałaci i kardynałowie zazdrościli przybyszowi, florenckiemu „wyskrobkowi”, obciosywaczowi kamieni, względów i łaskawości, jakie mu okazywał pierwszy dostojnik kościoła.

Czy było to trwałe? Michał Anioł miał w istocie niebezpiecznego wroga; chytry Bramante nagadywał nań papieżowi, starając się ostudzić zapał dla przyszłego mauzoleum. Udało mu się już usunąć od budowy Juliana di San Gallo, który swego czasu zbliżył Bramanta do papieskiego dworu, teraz przysłała kolej na Michała Anioła.

## II.

W początkach kwietnia, w pewien cichy, słoneczny poranek, jeden z tych, jakie bywają w Rzymie, kiedy to w mieście pachnie jeszcze świeżość pól okolicznych, a do nieba wznosi się głos dzwonów, niby śpiew jakiś—dwóch kamieniarzy, wśród białych odłamów marmuru, wiodło przy pracy rozmowę. Jeden z nich był to stary Genueńczyk, imieniem Grillo, pochodził z miasteczka Lawanii, na północ od Karrary, gdzie Michał Anioł wynajął był wioślarzy, dla przewiezienia marmurów do Rzymu, drugi—imieniem Cioppoli, był ka-

mieniarzem i pochodził z przedmieścia Florencyi, Settignano.

— Jakież tam wino u monny Pipy?—zapytał Grillo, obstukując młotkiem i mrużąc oczy, zaczerwienione od blasku słonecznego i pyłu marmuru.

— Prawdę powiedziawszy, kwas. Monna Pipa, oszukanica, jak i wszystkie szynkarki. Ale ma, powiadam ci, taką soloną rybkę, iż gdy ją zjesz, to tak ci się pić zachce, iżbyś całą piwnicę klasztorną wychleptać gotów i każde wino wyda ci się dobrem. Wczoraj porządnie wypiliśmy, jeszcze dziś głowa cięży. Łotra Ambrożego wyciągnięto za nogi z pod ławy. Było wesoło. Chodźmy, kumotrze, dziś do monny Pipy. Będziesz kontent.

— Gdzie mnie tam staremu—westchnął ciężko Grillo—ty kawaler, sam jeden, głowę masz spokojną, a mnie ciężko na sercu. W domu, w Lawanii—żona oraz dwie córki na wydaniu. Może tam bezemnie z głodu im się zmarło, albo na żebry poszły, jeśli jeszcze nie coś gorszego. Ciężko to bo o grzech z młodemi dziewczętami? Ech, prędeż by mi już do domu. Czego nas trzymają? Raz by dostać pieniądze!

— No, bracie, pieniądze nie tak to łatwo otrzymasz, teraz pieniędzy gospodarz nasz nie ma wiele i Bóg raczy wiedzieć, kiedy je dostanie...

Przeciągnęła się twarz Grilla, twarz drobna, ogorzała, pomarszczona, jak jabłko pieczone; bezradnie począł mrugać czerwonymi powiekami.

— Cóż ty znowu, Cioppoli. Niechże nas Bóg i św. Jerzy wybawi od takiego nieszczęścia, My, biedni ludzie, umawiał się z nami Mikeli-anielo, a on pan dobry, ludzki, uczeńszy, nie oszuka...

— On nie oszuka, lecz jego samego oszukano, a to musisz wiedzieć Grillo, że na papieża niema żadnego sądu i poskarżyć się niema komu.

— Przecież papież lubi go; słyszałem, że dał mu naprzód tysiąc skudów.

— To, co dał, już wydano, a więcej nie daje...

— Objaśnij że mnie Cioppoli, co się stało. Ty znasz te sprawy lepiej odemnie.

— Źle jest Grillo. Czarny kot przebiegł drogę między papieżem a Michałem Aniołem.

— Któż ich poróżnił?

— Bramante, architekt soboru. Wiesz, taki pan gruby, łysy, jeżdżący na białym mule, w jedwabnej uprząży, a hojny on, nigdy nie da mniej napiwku, niż pół solda.

— Wiem, znam, niedawno rzucił mi srebrną monetę za to, żem mu się nizko uklonił.

— A widzisz. To zręczna szelma. Jednem uchem wlezie, drugim wylezie. Kopie on dolki pod naszym panem.!

— A za cóż tak go nie lubi?

Cioppoli na chwilę zaniechał roboty i z tajemniczą miną pochylił się do ucha towarzysza: !

— Za to nie polubił, że tu sprawy nieczyste. Bramante, pan hojny, wspaniały. Wydaje uczyty, niczem książę. Pieniądzy mu trzeba w bród.

Wokoło zadłużony. Papieża oszukuje i grabi mu kasę. Budowle stawia nietrwałe, mówią, że za lat dziesięć pękną ściany. Lecz papieżowi umie dogodzić, bo buduje prędko, choć wszystko z piasku. A nasz Michał Anioł przejrzał go na wskroś, wszystkie oszustwa jego zna. Michał Anioł człowiek uczciwy, nie przekupny. Bramante zatem obawia się, by nasz pan nie wydał go, nie odkrył, jakim jest. Więc też nagaduje nań i przekonywa papieża, że budować sobie grobowiec za życia jest złym znakiem: znaczy to śmierć sobie sprowadzić. Papież się wystraszył, grobowiec mu zbrzydł i pieniędzy więcej nie daje. Najęto kamieniarzy, wioślarzy huk, sprowadzono góry marmuru, nawarzyli kaszy, a kto ją jeść będzie, Bóg jeden wie... Myślę, że nie prędko wrócisz ty do swej Lawanii.

— Ciszej, ciszej Cioppolo, otóż i nasz pan...  
I z zapalem chwycili za młoty.

### III.

W otoczeniu tłumu dostawców, cieśli, barkarzy, kamieniarzy, sprzeczącących się, krzyczących, którzy leżeli z rachunkami, zaklinali, prosili o pieniądze i grozili, szedł właśnie człowiek o twarzy ponurej, szpetnej, w starem, zniszczonem ubraniu z czarnego aksamitu.

— Jak pan chce—mówił główny dostawca—lecz dłużej czekać nie możemy. Wynajmowaliśmy się, jak ludzie uczciwi. Prosimy nas wypłacić.



— Jeśli Jego Wielebność—próbował mówić człowiek, zaskoczony przez tłum.

— My nie do niego, lecz do pana się najmowali.

— Obiecuję wam...

— Obietnicą się nie najesz... Przyszliśmy nie po obietnice, lecz po pieniądze. Z głodu mamy umierać, czy co?

— Nie krzywdź nas, panie, — prosiły błagalne głosy, — uczciwie ci służyliśmy. Zlitujcie się, panie.

— Słuchajcie, oto me ostatnie słowo. Poczekajcie do jutra. Ostatni raz idę do papieża, jeśli on nie zapłaci, zapłacę wam z własnych pieniędzy do ostatniego solda. Nie bójcie się, nic nie przepadnie wam u mnie. Najmowałem was i zapłacę, jeśli nawet miałbym dać w zakład dyabłu duszę swą i ciało.

To rzekłszy, zawrócił, idąc do swego domu, wąską między złomami marmuru ścieżką. Odłamki białe chrzęściły mu pod nogami, niby śnieg twarde w jasny dzień mroźny.

Był to człowiek, co przeszedł już trzydziestkę, wzrostu średniego, mocnej, kościstej budowy. Głowa wydawała się olbrzymią, broda była rzadka, ostra, czarna, także włosy, dolna warga występowała naprzód z wyrazem ponurego uporu, wokoło nieładnej twarzy rysowały się ostre, bolesne zmarszczki, pod brwiami rzadkimi małe, szare, zimne jak stal, szeroko rozstawione oczy odpychały tego, kto doń mówił i miały wyraz podejrzliwy, twarde. Lecz najwięcej brzydoty dodawał

mu nos splaszczony. Gdy Michał Anioł był jeszcze młodym chłopcem, we Florencyi Malarz Torrigiani, człowiek ordynarny i grubiański, w kłótni, rozpoczętej przezeń wyśmiewaniem się z Buonarrotiego — uderzeniem kulaka złamał mu chrząstkę nosową. Artysta na całe życie został ośmieszony, wiedział o tem i męczył się tą świadomością.

Podchodząc do drzwi domu, będącego za kościołem św. Katarzyny, Michał Anioł zastukał, otworzyła mu stara służąca, praczka, z zakasany-  
mi rękawami w podetkanem ubraniu.

— Czy był kto od podskarbiego? — zapytał starej.

— Nie. A poganiacze mułów przychodzili znów po pieniądze, krzyczeli, wymyślali, ledwie się ich pozbyłam.

W domu rozchodził się swąd oliwy smażonej: przygotowywano obiad dla mnóstwa robotników, cieśli, kamieniarzy, zamówionych z Florencyi. Przechodząc do pracowni zajrzał artysta z odrazą i nudą do wielkiej komnaty, zarzuconej pościelą, sprzętami domowymi, narzędziami robotników, mieszkających w domu. Ludzie ci w danej chwili byli na jego opiece i właściwie nie wiedział, co z nimi czynić.

W pracowni jasno było i cicho. Westchnął z ulgą, poczuwszy znany sobie dobrze zapach wilgotnej gliny i marmurowego pyłu. Za drewnianymi rusztowaniami bielily się grube, zaledwie obciosane rylcem zwaly, lecz oko artysty już odróżniało ukryte w nich formy. Wziął rylec, młot i zrobił kilka cięć.



Praca jednak nie dała mu zapomnienia — w sercu nie było spokoju. Zszedł z rusztowania, zbliżył się do stołu i jął rozpatrywać rysunki, plany nieszczęsnego grobowca, które teraz okazały się niepotrzebne. Przy tym wpadł mu w ręce niebieski, cienki arkusik papieru. Był to miłosny madrygał pisany dla kobiety, całe swe życie wiernej innemu, gdy on jej był wiernym. Naiwnie — szczerzy nagłówek godny zakochanego chłopięcia głosił:

„Delle cose divine se ne parla in campo azzuro” \*).

Mile, kochane rymy zarzucone wśród nudnych rachunków. Przez chwilę uśmiech pogodny rozjaśnił surowe, nieładne jego oblicze.

Spojrzał w okno i po cieniu, jaki padał na dom przeciwległy spostrzegł, że słońce musiało już przejść za południe. Należało iść bez zwłoki do papieża: w tej godzinie zwykł on być kończyć obiad i najłatwiej można go było zastać. Spojrzał na swe ubranie, stare, wytarte na łokciach, zabrudzone przy robocie. Przy kurtce jeden guzik ledwie się trzymał, snąc służąca zapomniała go przyszyć. Ludzie widywali go zwykle dumnym, pełnym wzdargy, wistocie zaś był raczej nieśmiałym, skłonny się zaczerwienić z lada powodu. Wspomniał teraz z goryczą czasy niedawne, kiedy papież przychodził doń na przyjacielską gawę-

---

\*) O rzeczach niebiańskich winno się pisać na papierze niebieskim.

dę i nie okazałby mu wówczas pogardy z powodu zniszczonego ubrania.

Na samą jednak myśl wyciągania z garderoby swych szat świątecznych z niebieskiego jedwabiu uczuł taki niesmak, iż szybko zebrał nieodzowne rachunki i plany i z góry już chmurny i gniewny udał się na dworzec tak jak był — w kurtce swej starej.

Niedaleko belwederu, na schodach przestronnych i widnych, wspaniale wyglądających, choć nietrwałych, wzniesionych niedawno przez ulubienca papieskiego Bramante, zetknął się z tym budowniczym, otoczonym tłumem pochlebców i dworaków. Architekt wracał był właśnie z audyencji papieskiej zadowolony, łaskawie śnać przyjęty i obdarowany. Pazik, wysmukły i piękny jak młode dziewczę, niósł za nim zwoje planów i rysunków. Bramante ubrany był po królewsku. Wspaniale fałdy szat, postać młodzieńcza prawie, a jednocześnie okazała, rozumne wejrzenie bystrych oczu, miękie, siwe włosy, okalające gołą, szeroką czaszkę, czoło godne Pitagorasa lub Archimedeasa — wszystko to nadawało urodziwemu starcowi wyraz milej łaskawości i powagi. Rozmawiał z młodym biskupem o nowozakupionej klaczy ze stadniny przybyłego Turka Mustaffy, przedmiocie zachwyty całego Rzymu. Następnie zwrócił się do otaczających i jął ich zapraszać na wieczerzę.

— Właśnie nadeszły kuropatwy z Mugello, spróbujecie przy tem, mili przyjaciele, dobrego lombardzkiego wina Montebantino. Powiadam wam, iż może iść w zawody z najlepszem korsykańskiem.

W tejże chwili zobaczył wstępującego na wschody Buonarottiego. Z wyszukaną, przesadną nieco uprzejmością zdjął beret, skłonił się młodemu przeciwnikowi, a ten odpowiedział mu zimnym i wstrzemięźliwym ukłonem.

Michał Anioł szedł nieskończenie długimi galeryami i korytarzami Watykańskiego pałacu. Przebudowywano je i artysta mimowoli rozkoszował się dziełem przeciwnika: lekkie i zwiewne jak sen, było równie jak sen nietrwale. Buonarotti przewidywał, że lat dwadzieścia mury te muszą popękać, jeśli nie zostaną utrwalone kontrforsami. Wszędzie zagradzały drogę drewniane rusztowania i rozchodził się zapach świeżej sztukaturki.

Buonarotti podszedł do drzwi, przy których stał szwajcar z halabardą. Ten spojrział uważnie na artystę, nie poznając go snad odrazu, następnie przeprosił i wskazał dalszą drogę.

#### IV.

Michał Anioł wszedł do dużej, ciemnawej sali, będącej jadalnią papieża; na sklepieniu widniały, błyskając starem złotem, freski Giotto. Ściany zawieszane były drogimi flandryjskimi dywanami o nikłych, wybladłych, delikatnych barwach; przedstawiały sceny mitologiczne — więc: porwanie Europy, śmierć Adonisa i inne. Na dole, pod ścianami, ustawiono długie ławy o wysokich toczonych oparciach z drzewa ciemnego.

Papież skończył obiadować i zajęty był różnemi sprawami. Sekretarz czytał depesze z Bolonii. Panowała cisza. Kardynałowie i nieliczni nadworni, siedzący przy stole, rozmawiali półgłosem. Powietrze było jeszcze przesycone zapachem korzennych potraw. Służba przesuwała się niby cienie jakieś, w milczeniu spełniając dawane sobie znakiem rozkazy mistrza ceremonii. Nadworny leib-medyk trzymał flaszeczkę z lekarstwem, odmierzając uważnie krople do szklanki wina, przygotowanej dla papieża. U nóg Jego Wielbności, na jedwabnej, złotem tkanej poduszce, siedział dziwny młodzian niezwyklej urody, ni błazen, ni pan, w szatkach półdziecięcych i półkobiecych, o kędziorach jasnych i długich, a oczach pięknych, przebiegłych, a pieśzcotliwych. Od niechcienia, cichutko, by nie przeszkadzać czytaniu sprawozdań — przebierał on strunami lutni. Był to wszechpotężny ulubieniec Groźnego Juliusza, siedemnastoletni Ganimed watykańskiego Jupitera, najjaśniejszy pokojowiec cammeriere Accorzio, będący posiadaczem kluczy do serca papieża, równie jak ten był posiadaczem kluczy nieba.

Promień słoneczny przesuwał się po stole, łamał w czaszy kryształowej z niedopitem winem, igrał na majolikowych misach, czepiał się srebrzystej, białej brody Juliusza, odcinającej się ostro na purpurze papieskiego aksamitu, połyskiwał w rubinie pierścienia na wychudłej, bladej ręce starca. On — siedział cokolwiek zgarbiony, opierając się obu łokciami o poręczę fotelu, odsunię-

tego od stołu. Gołą czaszkę pokrywała aksamitna, również purpurowego koloru, skufja. Choroby pozostawiły ślady na tem znużonem obliczu o wpadniętych policzkach. A przecież cienkie wargi zaciskał wciąż jeszcze wyraz niepokonanego uporu, a pod nastrzępionemi brwiami, w głębokich wklęsłościach, oczu świecił ogień woli, nie pokonanej chorobą. Wejrzenie tych oczu, kiedy błyskał w nich gniew — było straszne.

Michał Anioł wchodził właśnie do jadalni, gdy sekretarz kończył odczytywać depesze z Bolonii. Juliusz zauważył wnet wejście Buonarrotiego i rzucił nań niezadowolone, z podelba spojrzenie. Artysta zrozumiał, że przyszedł nie w porę. Nie mówiąc nic do nikogo, zatrzymał się samotnie pod oknem, oczekując swej kolei.

Do papieża zbliżył się starzec ruchliwy, okrągły jak kula, o brudnych rękach. Był to nadworny jubiler. Mówił o kupnie drogich kamieni dla wysadzenia nimi krzyża, zamówionego tymi czasy przez Juljusza do Sykstyńskiej kaplicy.

Papież, nie słuchając go, zamknął znużone powieki. Jubiler, myśląc, że śpi, przerwał swe gadanie. Lecz Juliusz otworzył oczy i zapytał gniewnie:

— Pieniądze zostały?

— Nie, Wasza Wielebność, wydałem wszystko, co było przeznaczone. Właśnie śmiem prosić Waszą Świątobliwość o dodatek: Ormianin Dzem proponuje za bezcen dwa karbunkuły oraz szmaragd, jeśli Wasza Świątobliwość...



— Dość, — papież niecierpliwie machnął ręką, — mówię Ci dość, odejź!

Jubiler przestępował z nogi na nogę, chcąc coś jeszcze dodać, lecz papież krzyknął:

— Wynoś się do diabła i pamiętaj, że więcej nie dam ani grosza ni na małe, ni na duże kamienie...

Michał Anioł zrozumiał, co znaczy przymówka o dużych kamieniach, pojął, że był to zwrot do niego. Gdy nastąpiła jego kolej, podszedł do Juljusza z rysunkami, planami, rachunkami. Papież spojrział na nie z niechęcią:

— Nie mam czasu, — wyrzekł i niecierpliwie poruszył się na krześle, — przyjdź w poniedziałek.

— Ojcie święty, — rzekł Michał Anioł spokojnym, lecz stanowczym tonem, — czy nie zechcesz łaskawie przepatrzyć te rachunki? Robotnicy żądają zapłaty, biorąc sprawiedliwie, nie można im tego odmówić! Zachciej rozkazać podskarbiemu, by wydał pieniądze albo ja będę zmuszony zapłacić za marmur na twój grobowiec z własnych pieniędzy.

Juljusz uważnie, jakby zdziwiony, spojrział na Michała Anioła. Artysta tem nie stropiony wytrzymał jego spojrzenie.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Accorzio, zaniechawszy mandoliny, podniósł głowę z wesołą, przebiegłą ciekawością.

Juljusz zmilczał, lecz odsunął od siebie papiery i rachunki tak, iż upadły na podłogę. Nas-

tępnie, nie zwracając na Buonarottiego najmniejszej uwagi, jakby zapominając o nim, podniósł się z fotelu, dwaj młodzi prałaci przybiegli w podskokach, podtrzymując go za ręce, trzeci podał mu łaskę. Opierając się na niej, papież krokiem szybkim i jeszcze rażnym skierował się do wyjścia, udając się z audyencyonalnych komnat do dalszych pokoi, dla poobiedniego wypoczynku.

Buonarotti pobladł, dreszcz gniewu skrzywił mu wargi. Czując na sobie ironiczne wejrzenia pazi, lokai i dworaków, musiał jeszcze schylić się, by zebrać upadłe na ziemię papiery.

## V.

Powrócił do domu i zaraz też napisał do swego starego druha, Baltazara Balducci, zarządzającego interesami banku Gallego, prosząc go o pożyczkę dwustu dukatów. W trwodze jał oczekiwać odpowiedzi, z goryczą myśląc o możliwości odmowy i o nowych upokorzeniach. Lecz gdyby nawet Balducci zgodził się, Michał Anioł był zrujnowany: by zapłacić ten dług, będzie musiał sprzedać swój dom we Florencyi, dom, w którym żył stary ojciec i bracia. Przypomniał sobie długie lata niedostatku, znoszonego dobrowolnie, by tylko móc zabezpieczyć rodzinę, przypominał sobie ośm miesięcy, spędzonych w kopalniach marmuru w Karrarze. Febry, nużąca praca bądź na słońcu, bądź w deszcz, cudem tylko nie zniszczyły mu zdrowia. Mając dwoje służących i konia w cią-



gu tego czasu otrzymywał od papieża płacę za ledwie wystarczającą na kawałek chleba. Z natury nie był skąpym, lecz jak każdy Florentyńczyk — rachunkowym, pieniądze szanował, odmawiając sobie nie jednego, by tylko wywalczyć w przyszłości pewną niezależność. Był przy tem wychowany w bogobojnej, cnotliwej rodzinie, szanującej, niby świętość, cudze i własne mienie.

Nareszcie przyszedł posłaniec z odpowiedzią z banku. Baltazar Balducci w krótkich, grzecznych słowach obleczył pieniądze na jutro.

Michał Anioł uspokojony tem wszedł na rusztowanie i wziął rylec. Zwolna praca pochłonęła go całkowicie. Opracowywany posąg był jednym ze „Spętanych niewolników”, mającym figurować na czworokątnych występach mauzoleum.

Rzeźbą tą chciał artysta wyrazić, iż śmierć, która zabrała Juljusza, spętała rozwój sztuki, odbierając jej nadzieję, by miała kiedykolwiek podobnego opiekuna. Teraz artysta nie mógł myśleć bez goryczy o tej alegoryi.

Czyż to jednak nie wszystko jedno? Przechuwając, że grobowiec nie będzie nigdy skończonym, pracował dziś dla siebie, bez celu, bezinteresownie, nie myśląc już o papieżu. Zapomniał o wszystkim. Uderzenia młota były tak silne, iż zdawało się, że posąg rozleci się w drzazgi. Odłamki marmuru sypały się, niby deszcz.

Weszła służąca, prosząc go na kolację. Nie poszedł. Wziął tylko kawałek chleba, zjadł go pośpiesznie, nie schodząc z rusztowania i znów zabrał się do roboty.

Twardy kamień stawał się coraz miększym, zdając się tajać jak wosk.

Rzeźbiarz uwalniał z kamiennej obsłony obraz ukryty. Młody niewolnik przechylał rozpaczliwie głowę; członki jego i mięśnie były niezmiernie naprężone wysiłkiem, by zerwać więzy, krępujące ciało.

Dopiero, gdy nastał zmierzch, artysta, zmuszony, odłożył pracę, zaświecił, światło i do późnej nocy przesiedział nad ulubioną swą księgą „Boskiej Komedyi”. Tejże nocy napisał ów dumny wiersz, poświęcony Dantemu:

Dal mondo scese ai ciechi abissi  
 Pur fuss'io tal! ch'a simil sorte nato,  
 Per l'aspro esilio con la virtute,  
 Darei del mondo il piu felice stato.

Noc już bladła, gdy Michał Anioł legł na twarde, nędzne posłanie dla krótkiego wypoczynku. Legł, nie rozbierając się, w obuwiu — jak to często zwykł był czynić.

Zrana wezwał dostawców, kamieniarzy, cieśli, płacąc im wszystko, co był winien, do ostatniego solda.

## VI.

W oznaczony przez Juliusza dzień, t. j. w poniedziałek, poszedł do pałacu. Powiedziano mu, że papież jedzie w góry Albańskie na polowanie. Cały dwór pełen był wesolych dźwięków rogów, naszczekiwania psów, rozlegały się krzyki dojeżdżaczy, szum i trzepotanie skrzydeł sokolich. Mi-

chał Anioł zobaczył Juljusza w dziwnym — jak na duchownego, myśliwskim stroju: w wielkich botfortach, kapeluszu z piórami, skórzanym pancerzu; podobny do starego pułkownika dosiadał wspaniałego wierzchowca. Accorzio przytrzymywał strzemię. Papież wydawał się ożywionym i mówił coś na ucho do swego ulubieńca, ten uśmiechał się z lekka, dwuznacznie, jak kobieta. Buonarotti pojął, że w danej chwili daleka papieżowi myśl o grobowcu.

Więc przyszedł we wtorek. Juljusz nie powrócił jeszcze z polowania. Przyszedł we środę. W galeryi spotkał znajomego sekretarza. Ten uprzedził go, że papież nie w humorze, gdyż nadeszły złe wieści z Bolonji, przed chwilą właśnie uderzył kulą biskupa Ankony. Z audyencyjnej sali wychodzili nadwornicy zmieszani i Michał Anioł posłyszał francuskiego posła, który z uśmiechem mówił do swego towarzysza, tłustego, spokojnego kapelana: „Mais il est terriblement cholérique, votre pape!”.

Jednak Buonarotti miał jeszcze nadzieję, że jeśli uda mu się przypomnieć papieżowi o rachunkach, to ten każe je zapłacić. Postanowił dobić się przyjęcia we czwartek.

Lecz gdy podszedł do drzwi sali przyjęć, zatrzymał go papieski masztalerz:

— Wybacz, signor. Mam rozkaz nie puszczać waszej miłości.

Jeden z biskupów, znajdujący się w przedpokoju, słysząc te słowa, ofuknął masztalerza, mówiąc:

— Jak śmiesz, grubjaninie! Nie wiesz z kim mówisz. Toć to messire Buonarrotti. Ma stałą kartę wejścia.

— Mylisz się, signor,—odrzekł „palefrenier” niez pomieszany, — znam dobrze messire Buonarrotiego, lecz moją powinnością nie sądzić, a słuchać rozkazów papieża i innych naczelników.

Michał Anioł nie wierzył własnym uszom. Zdawało mu się, że to zły sen. Nie rzekł ni słowa, odwrócił się i poszedł do domu, tam zaś napisał do papieża następujące słowa:

„Najprzewielebniejszy Ojcze. Dziś z twego rozkazu wypędzono mię z twego pałacu, wobec czego zawiadamiam, iż od tej chwili, jeśli zechcesz mnie widzieć, to musisz mnie szukać gdzieindziej, nie w Rzymie”.

Odesłał to pismo cammerjerowi, Agostino Scalco, z tem, by je oddano papieżowi.

Przywoławszy dwóch sług wiernych: cieślę Cosimę i kamieniarza Antonia rzekł im:

— Idźcie znaleźć żyda, sprzedajcie mu wszystko, co jest w tym domu i przyjeżdżajcie za mną do Florencyi.

Następnie udał się do hotelu „Trzech Maurów”, gdzie zatrzymywała się poczta, wynajął miejsce w niezdarnej, niewygodnej karecie pocztowej, zaprzężonej w czwórkę zdychających koni i w dwie godziny później wyjeżdżał z Rzymu w drogę na północ. Towarzyszami podróży tej byli: milczący, ponury aptekarz z Perugia, stary żyd-lichwiarz o twarzy sędziwego patryarchy, mnich z Certosii, wesoly i ruchliwy, namawiający wciąż żyda, by się

ochrzcił, oraz tłusta białolica kolonistka z koszykiem jaj, mnóstwem węzłków, bojąca się napaści rozbójników albo Turków. Michał Anioł rad był, iż nikt go nie poznaje, swoją drogą obawiał się pogoni i uspokoił się dopiero wówczas, gdy już odjechali o kilka mil od Rzymu.

Wokoło, na nieskończonej przestrzeni, aż do amfiteatru gór Sabińskich z groźną, urwistą skałą Rocca di Papa — słała się Kampanja niby wielkie, mgliste morze, usiane miękkimi, zielonkowatymi, łagodnymi zboczami wzgórz. Gdzie niegdzie wystawała, w górę ku niebu czerniejąc, strażowa wieżyca jakiejś posiadłości któregoś z nieokreślonych feodalnych baronów w rodzaju Colonnów, Orsinich, Savellich. Nad spokojnymi zwaliskami i połamanymi przesłami akweduktów, ciągnących się aż do Frascati, bystro sunęły czarne, krzykliwe stada wron i kawek.

Michał Anioł, ciesząc się swobodą i panującą wokół ciszą, z lubością oddychał świeżym, ożywczym jak wino, słodkim jak miód—zapachem polnych traw. Wszystko, co przeszedł w służbie swej papieskiej, zdało mu się teraz dalekiem raczej wspomnieniem.

Droga szła zwolna w górę. Cieszyły go obłoki, ścielące się nisko nad horyzontem! Od dzieciństwa lubił on wynajdywać w tych olbrzymach obrazy, niby posągi nieznanego snycerza, przechodzące wielkością swą wszystko, co może zrobić człowiek. Przypomnił sobie jak raz, patrząc na zwały Karrary z wysokiej skały nadmorskiej postanowił wyrzezać w skale posąg tak ol-



brzymi, by marynarze mogli go widzieć z oddali. Było to marzeniem artysty, równie niecielesnem jak te chwilowe, potworne, zwodnicze zarysy spędzonych wichrem obłoków.

## VII.

Noc już była, kiedy karetka pocztowa z turkotem i hałasem wjechała w ciasną, wąską, źle brukowaną uliczkę małego miasteczka, starej twierdzy Poggibonsi, należącej już do Florencyi, o jakieś dwadzieścia mil od tego miasta. Michał Anioł postanowił zatrzymać się tutaj i odpocząć do rana, uważając się już bezpiecznym na ziemi, należącej do Florencyi. Zarządcą miasta był jego przyjaciel, Fryderyk Staro.

Michał Anioł zatrzymał się w małej oberży pod „Cynowym dzbanem” w pobliżu ratusza. W olbrzymiej, sklepionej kuchni płonął ogień, grano w kości, śpiewano pieśni. To ucztowali celnicy komory i żołnierze najemni z San-Gemignano. Gospodarz objaśnił, że wszystkie łóżka ma zajęte przez końskich handlarzy, śpieszących na jarmark do Sieny. Poprowadził gościa do ciasnej, dusznej izby, gdzie na olbrzymim łożu, przypominającym katafalk, leżało już trzech śpiących. Ukazał kawałek miejsca z brzegu, obiecał dać oddzielną poduszkę, zapewniając, iż „jeśli trochę się posunąć to będzie przestronno”. Gość jednak wolał urządzić sobie posłanie na szerokiej, drewnianej ławie, zawinąć się w płaszcz własny podróżny,

podłożywszy sobie pod głowę miast poduszki, skórzaną torbę z rysunkami i papierami.

Oddawna już nie spał takim spokojnym snem, jak w tej lichej oberży, pierwszą noc na wolności, na ziemi swej rodzinnej.

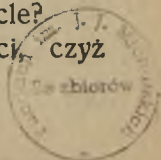
Koguty już piał, gwiazdy jęły blednąć, a na dzwonnicy św. Petroneli wydzwoniły ranne dzwony, gdy u wrót oberży dał się słyszeć stuk głośny, krzyki i wyklinania wraz z tupotem końskim. Michał Anioł skoczył na równe nogi, długo nie mogąc pojąć, gdzie jest, co to takiego: zdało mu się, że jest jeszcze w Rzymie, w swej sypialni, tuż przy pracowni. Oprzytomniawszy, jął sobie tłómaczyć, że to w kuchni, na dole hałasują pijani celnicy. Stuk jednak koni w sąsiedniej uliczce zwiastował co innego: kazał się domyślać, iż to wysłańcy Juljusza przyjechali po artystę. Serce mu żywo zabiło: wiedział, że postępek jego z papięzem może go kosztować życie, albo, co najmniej, zamknięcie w strasznych lochach twierdzy św. Anioła. Po ciemku, obszukawszy ławę, namacał pas skórzany z przytwierdzonymi doń nożami, wyjął kindżał i położył przy sobie.

Drzwi pokoju otwarły się. Gospodarz wsunął głowę, zaspany i rozczochrany. W rękę trzymał latarnię; światło jej padło smugą na ceglana posadzkę.

— Czy to nie pan jest Michałem Aniołem Buonarotti z Rzymu?—zapytał gospodarz.

— Jam Buonarotti z Florencyi i wracam z Rzymu do swego miasta. Czego chcecie?

— Ach, wasza ekscelencyo, litości, czyż





mogłem przypuszczać coś podobnego — krzyknął gospodarz z niskim ukłonem.—Czemuż Wasza ekscelencya nie raczyła mnie uprzedzić? Wiem, wiem, incognito... Lecz proszę wierzyć, jeśli-bym miał honor przypuścić, że taki znakomity i szlachetny pan czyni honor memu skromnemu domowi, toćbym otworzył dolne pokoje. Prawda, iż oczekujemy lada chwila przybycia posła szlachetnej republiki messire Giustignani, lecz dla was, najszlachetniejszy, najjaśniejszy...

— Czego chcecie nareszcie? — zapytał niecierpliwie Michał Anioł, słysząc niemilknące stuk i krzyki.

— Kurjer, kurjer Jego Przewielebności najłaskawszego Ojca świętego Juliusza—objaśnił gospodarz tajemniczo niby radosną jakąś wiadomość! Kazalem im otworzyć z pozwolenia Waszej wielmożności. Żli i gniewni jacyś panowie, ledwie wrót mi nie wylamali, popłoch uczynili w całej twierdzy...

— Okażesz mi prawdziwą przysługę, dobry człowieku, — rzekł Michał Anioł, jeśli bez zwłoki pošlesz kogo do miejscowego podesty, mego druha, messire Federigo Staro i poprosisz go w moim imieniu, by zjawił się tu ze swymi ludźmi: powiesz mu, że pomoc jego może mi być potrzebna.

— Wasza miłość niechaj się nie niepokoi, słyszałem właśnie głos messire Federigo u wrót mych, nocą zaś nigdy nie wychodzi on bez straży. Otóż i kuryerzy...

Mówiąc to, wpuścił do pokoju pięciu ludzi w pełnym rynsztunku, w olbrzymich botfortach,

zabłoconych niemożliwie. Trzech, śpiących do-  
tąd na łożu, zbudzonych, skoczyło na równe nogi.  
Jeden z nich, myśląc że to napad rozbójników,  
schował się pod łóżko, inny szeptał, żegnając się  
„Ave Maria”, trzeci kłął i tarł zaspane oczy.

W młodym człowieku o twarzy pięknej i chy-  
trej, będącym dowódcą oddziału, poznał Michał  
Anioł kawalera gwardyi papieskiej. Młodzieniec  
zjął czarny beret z czerwonym piórem i, kłania-  
jąc się grzecznie, wyrzekł:

— Messire Buonarotti, mam honor przedsta-  
wić mu się: rycerz Gismondo Brandino. Ośmie-  
lam się stanąć przed waszą miłością z rozkazem  
papieskim. Czy nie raczy wasza miłość iść z na-  
mi? konie stoją u wrót. Nie można zwlekać, gdyż  
Jego świątobliwość oczekuje niecierpliwie Waszej  
miłości.

— Zapewne papież otrzymał już me pismo,—  
wyrzekł Michał Anioł,—w nim zawiadamałem go,  
że wyjeżdżam z Rzymu na dobre i nie mam za-  
miaru kiedykolwiek powracać.

— Mam list od Jego Świątobliwości.

Gismondo zbliżył się i podał kopertę z przy-  
wieszoną na sznurku wielką pieczęcią z zielonego  
wosku. Na niej wyobrażona była potrójna, spi-  
czasto zakończona mitra i klucze rzymskiego arcy-  
pasterza. Gospodarz przyniósł w niezdarnym,  
drewnianym lichtarzyku małą łożówkę.

Michał Anioł przeczytał następujące, pośpiesz-  
ne rzucone słowa:

„Po przeczytaniu niniejszego jechać natychmiast do Rzymu, pod grozą naszego gniewu  
Juljusz”.

— List ten nic nie może odmienić. Możesz pan zawiadomić Jego Świątobliwość, że trwam w swym zamiarze nigdy nie wracania do Rzymu.

— Messire, — mówił Gismondo, — mówię do was w tej chwili już nie jako wysłaniec Jego Świątobliwości, lecz jak człowiek, życzący dobrze wielkiemu artyście, sławie i dumie naszej ojczyzny: spełnij pan wolę papieską. Ojciec święty rozgniewany, to prawda, lecz gotów wszystko przebaczyć i okazać większe jeszcze łaski, niż dotąd. Wiem napewno, iż rozkazał wypłacić te dwieście dukatów, które zeszłej soboty pożyczyłeś pan z banku Galli.

— Dziękuję ci, rycerzu, za dobrą radę, — z uśmiechem wyrzekł Buonarrotti, — niestety, masz pan sprawę z człowiekiem niemniej samowolnym, niż ojciec św. Juliusz II. Nie trać więc próżno słów, wola ma niezmienna, równie jak wola papieża, a rachunki z nim skończone.

— Messire Buonarrotti, niezmiernie mi przykro, lecz muszę uprzedzić Waszą miłość, iż na wypadek oporu ze strony Waszej miłości mam rozkaz działać siłą. Spodziewam się, że nie zmusisz mię pan do tego...

— Więc groźba? — przerwał Michał Anioł, podchodząc szybko do okna. Otworzył okienicę, uniósł ruchomą ramę o szklach mętnych i ujrzał stojącego u wrót oberży Federiga Sterno z uzbrojonymi ludźmi i tłumem ciekawych.

Świtało już, a dzwony św. Petroneli wydzwaniały głośno i wesoło.

— Messire Buonarotti, ostatnie słowo, więc pan nie chcesz iść z nami?—zapytał Gismondo.

— Zostaw mię pan w spokoju, ręczę ci, że tak będzie lepiej dla nas obu.

— Jeśli tak...

I Gismondo dał znak jednemu z żołdaków, ten zbliżył się do Michała Anioła, biorąc go za rękę. Artysta pojął, że chcą go zwięzać, odepchnął żołnierza z taką siłą, iż ten uderzył się o ścianę i ledwie nie upadł. W tejże chwili Buonarotti schwycił kindżał, wyrztał przez okno, witając przyjaciela donośnym głosem:

— Jak się miewasz, messire Federigo. Dzień dobry... Nie, nie, dziękuję ci, jak dotąd pomoc twa zbyt cenna. Następnie zwrócił się do papieskiego kurjera:

— Słuchaj pan, jeśli którykolwiek z twych ludzi dotknie mnie palcem, wezwę straż podesty i będzie z wami źle. Wystarczy mi jeden znak, by ludzie, stojący u wrót, zarabali was wszystkich. Jesteśmy tu na wolnej ziemi. Jam obywatel wolnej republiki Florencyi i źle temu, ktoby się ośmielił podnieść na mnie rękę. Nie chcę jednak, by lała się tu krew. Dlatego mówię ci, idź z Bogiem, póki wszystko dobrze.

Gismondo pojął, że to nie żarty; zmienił wyraz twarzy i głos, prosząc pokornie, by Michał Anioł odpowiedział przynajmniej na list papieski.

Artysta przystał na to, rozkazał gospodarzowi przynieść kałamarz i napisał krótki list, w któ-

rym powiadamiał, że wysłańcy dopadli go na ziemi florenckiej, a wskutek tego nie mogli go zmusić do powrotu do Rzymu. Zaznaczył, że za nic nie powróci, że za jego wierną służbę nie należało go obrażać i gonić precz, jak jakiegoś niegodziwca, że ponieważ papież nie pozwolił mu kończyć grobowca, więc on tem samem uznał poprzednią umowę za unieważnioną, a obecnie nie ma chęci czynić nowej.

Położywszy datę, oddał list kuryerowi Gismonda. Rycerz z ceremonialnym, hiszpańskim ukłonem rzekł: „Spodziewam się, iż zobaczymy się wkrótce w Rzymie” — i, nie mając nic więcej do zrobienia, odszedł ze swymi ludźmi. Po jakimś czasie usłyszał Buonarotti oddalający się tętent kopyt końskich.

Tegoż dnia ujrzał on pośród łagodnych wzgórz z wijącą się wstęgą Arno, podobną do napół rozwiniętego kwiatu, kopułę Maryi del Fiore i ciemno-szarą, wysoką wieżycę pałacu della Signoria.

## VIII.

W tym czasie zarządcą Florencyi był stary druh Michała Anioła, Piotr Soderini. Wziął on artystę pod swą opiekę.

W trzy miesiące potem nadeszła z Rzymu bulla papieska:

„Ukochane dzieci — pisał Juljusz, zwracając się do panów florenckich — ślę wam przede wszystkim swe apostołskie błogosławieństwo dla



was i dusz waszych. Słyszeliśmy, że Michał Anioł, który lekkomyślnie i nieopatrzenie wyjechał od nas, nie śmie teraz powrócić. Znając naturę podobnych mu ludzi, nie gniewamy się nań. By jednak usunąć wszelkie możliwe podejrzenie, przypominamy wam o obowiązku synowskiego szacunku i rozkazujemy wam powiedzieć mu, iż jeśli zechciałby wrócić, zostanie przyjęty z tąż łaskawością, jaką okazywaliśmy mu poprzednio, nic nie czyniąc mu złego. Z Rzymu dan 8 lipca 1506 roku, a trzeciego naszych rządów.”

Soderini odpowiedział Juljuszowi z uszanowaniem, że Michał Anioł jest tak wystraszony („*impaurito*”), iż, nie bacząc na zapewnienia, uważa powrót swój do Rzymu za zupełnie bezpieczny. On jednak, Soderini, namawia go i namawiać do powrotu będzie, lecz przekonany jest, iż jeśli przestanie się obchodzić z nim ostrożnie i z łaskawością, to ten bezwątpienia ucieknie. Dwa razy już bliski był tego.

Gonfalonier Soderini nie bardzo zważał na pierwszą tę bullę, nie przynaglał Michała Anioła do wyjazdu, mając nadzieję, że wkrótce gniew Juljusza ścichnie.

W kilka dni później przysłała jednak druga bulla, bardziej natarczywa i bardziej jeszcze łaskawsza.

Wówczas Soderini, człowiek nieskalanie honorowy, lecz słabego charakteru i niezdecydowany, zawoławszy Michała Anioła, rzekł doń:

— Postąpiłeś z papieżem tak, jak nie ośmieliłby się postąpić z nim sam król Francyi. Dość

uporu. Nie chcemy i nie możemy zaczynać z twego powodu wojny z papieżem i wystawiać miasto na niebezpieczeństwo, dlatego prosimy cię, byś wrócił do papieża.

— Udam się prędzej do Turka, niż do Jego świątobliwości,—zawołał na to Buonarotti.—Sultan potrafi mnie obronić od papieża.

Soderini wiedział, że słowa te w ustach Michała Anioła nie są prostą pogroźką. Artysta już oddawna wiódł układy z Bajazetem II za pośrednictwem jednego przybyłego z Konstantynopola mnicha Franciszkanina. Czując się niby zwierż zaskoczony w legowisku, Buonarotti gotów był na wszystko, by tylko mózż się wybawić. Sultan proponował mu budowę mostu na jednej z odnóg Złotego Rogu dla połączenia Konstantynopola z przedmieściem Peru. Artyście wielkość tego projektu przypadła do gustu.

Wprost od Soderiniego skierował się do owego Franciszkanina, fra Tymoteo.

Ten przyjął go, jak zawsze, z wielką radością, ugościł wschodnimi różanemi konfiturami, pokazał świeże listy z Konstantynopola, błagał, by prędzej kończył całą sprawę, bowiem sultan nie chce dłużej już czekać i żąda stanowczej odpowiedzi.

— Fra Tymoteo, — wyrzekł Michał Anioł — zaklinam, powiedz mi prawdę, jak przed Bogiem, czy sultan nie będzie chciał, bym się wyrzekł Chrystusa i pokłonił się Mahometowi? Wołałbym umrzeć, niż nietylko już zrobić coś podobnego, lecz nawet pomyśleć.



— Bądź spokojny, meser Buonarotti, klnę się na Najświętszy Sakrament, na zbawienie własnej duszy, że sultan nie zażąda od ciebie nic, coby się sprzeciwiało twemu sumieniu. Wierz mi, różny jest sąd ludzki i boski. Mieszkałem w Konstantynopolu, żyłem w Rzymie i, messer Buonarotti, wszyscyśmy ludzie. Znałem pogan sprawiedliwszych i litościwszych, niż tych, którzy się zowią chrześcijanami i powtarzają zimnymi usty: Boże, ach Boże, a serce mają szatańskie.

— A będę ja swobodny, fra Tymoteo, swobodny we wszystkim? Czy pozwoli mi sultan robić to w mej sztuce, co sam zechcę?

— Słuchaj, synu mój, przeczytałem raz, niepomnę w jakiej księdze, że w starożytności rzeźbiarz pewien postanowił wyrzezać z całej góry, stojącej nad morzem, statwę Aleksandra Wielkiego, tak olbrzymią, by na dłoni ręki jej mogło stanąć całe miasto z placami, ulicami, świątyniami i dziesiątkami tysięcy mieszkańców. Jeśli zamyśliłbyś coś podobnego, a wiem, że wielka twa dusza sposobna na to, wierz mi, że sultan zrozumie cię i nie odmówi ni pieniędzy, ni ludzi. Ten wszechpotężny władca pragnie, byś stworzył dzieło godne ciebie i jego, niezwykle, o jakim dotąd żaden człowiek nie śmiał pomyśleć. Sultan jest silniejszy, niż papież i w porównaniu z tem, czego oczekuje od ciebie, projekty Jego Świątobliwości są nędzne. Papież ma swego Bramante. Dość mu jego. Lepszego nie jest wart. Na twem miejscu pokazałbym kupcom florenckim i rzymskim klechom, kogo mieli, kogo stracili. O! nau-

czyłbym ich. Pojechałbym do sultana, choćby dla tego, by wiedzieli, co znaczy obrazić artystę. Już teraz umieram ze śmiechu na myśl, jaką minę zrobi papież, dowiedziawszy się, żeś pojechał do sultana. Niestety, zapóźno. Ptaszek uleciał i nie powróci... I tak messir Buonarotti, dajcie rękę, zgoda? Ja zła nie doradzę. Za dwa dni wyjeżdżamy stąd, potem z Wenecyi — statkiem. Rzekniesz „tak”, a dziś jeszcze napiszę do jego wysokości.

## IX.

Głęboko zamyślony, wracał Buonarotti od fra Tymoteo cichemi uliczkami Florencyi. Poraz setny na wewnętrznej wadze własnego sumienia ważył pytanie: papież, czy sultan? Co lepsze — papież, czy Turek?

— Boże, czyżby istotnie nie było wolności na ziemi, czyż już niema takiego miejsca, gdzie mógłbym nikomu nie służyć, ni papieżowi, ni Turkowi, wypełniając jedynie wolę serca własnego i Boga?

Z ciężkiem westchnieniem podniósł oczy do nieba. Wysoko niedosięte obłoki, okrągłe, drobne, błękitne, mieniające się jak perłowa masa, oświetlał niewidzialny księżyc: tam panował wieczny chłód, spokój, swoboda.

— Papież, czy Turek, — powtarzał z goryczą—mnich ma rację. Czyż to nie wszystko jedno! Niema swobody, niewolnikiem być trzeba, cierpieć z poddaniem.

Wspomniał o tem, jakim był w Poggibongii nieustraszonym, dumnym. Trzy miesiące drobnych poniżeń, drobnych trosk codziennych wystarczyło, by serce jego uczynić bezbronem, by w duszy nie pozostało dumy ni kropli. Czuł się bezradnym i słabym. Czyż warto było buntować się, uciekać z Rzymu, ośmieszać się względem ludzi.

Szybko wrócił do domu; nie zapalając świecy, rozebrał się, położył, zakrywszy głowę kołdrą, by nic nie słyszeć i nie widzieć, powtarzając tylko jedno: „Nuda, nuda.” Wstręt do życia, do ludzi, do siebie samego wypełniał mu duszę, niby zimno przedśmiertne. Bezsilny, unicestwiony, bez myśli, bez czucia, bez woli -- zasnął wreszcie jakimś martwym snem.

Następnego właśnie dnia nadeszła trzecia bulla.

Gonfalionerowi doniesiono o świeżych układach Buonarottiego z Turkami. Soderini zawezwał go znów do siebie i jął upewniać, że jeśli on pojedzie do sultana — to papież napewno wyklnie go z Kościoła. Lepiej umrzeć z rąk papieskich, niż żyć na dworze Turka. Zresztą, artysta nie potrzebuje się obawiać; Ojciec święty jest nań łaskawy, żąda go widzieć, gdyż go lubi, a bynajmniej nie dlatego, by go miał czem skrzywdzić.

A jeśli, mimo to, Michał Anioł się obawia, to florencka signoria gotowa dać mu tytuł posła „*ambasciadore*”, czyniący go nietykalnym.

Michał Anioł odrzekł, że godzi się na wszystko i jest gotów jechać do papieża.

W tym właśnie czasie Jego Świątobliwość, nie tak w charakterze pokornego pasterza owiec Chrystusowych, jak raczej jako rzymski dowódca, nie zdejmując helma ni pancerza, nie schodząc z konia, pustoszył zamki, miasta i wsie nieposłusznych wasali i baronów kościoła, zawojował Peruggię i, jako tryumfator, wśród okrzyków narodu, wstępował do Bolonii.

Z tytułem 'zatem „ambasciadore”, to jest posła republiki florenckiej, przyjechał Michał Anioł 15 listopada 1506 roku do Bolonii.

Gonfalioner dał mu list do brata swego, kardynała Soderini.

„Ośmielamy się zapewnić Waszą miłość — pisał między innymi—że Michał Anioł jest człowiekiem niezwykłym, pierwszy to rzeźbiarz we Włoszech, jeśli nie w całym świecie. Polecamy go waszej uwadze. Grzecznością, uprzejmością można z nim zrobić wszystko, lecz trzeba dać mu poznać, że go cenią i kochają. Pamiętajcie, że Michał Anioł wraca do papieża, zawierzywszy jego słowu”.

Mimo wszystkie te dyplomatyczne uprzejmości, Buonarotti, według własnego wyrażenia, jechał do papieża „z rzemieniem na szyi” t. j. jak pies, którego siłą prowadzą.

Oddał list kardynałowi Soderini, który, sam chory, przeprosił, że nie może osobiście starać się, lecz porucił jednemu z biskupów wyrzec za artystą słowo do papieża.

Buonarotti przyjechał do Bolonii wczesnym rankiem i poszedł na mszę do katedry. W dro-

dze spotkali go masztalerze papiescy i, ucieszeni, poprowadzili na dwór.

## X.

W paradnej, mrocznej sali pałacu „szesnastu” (Palazzo de sedici), siedział papież, w otoczeniu rycerzy i wojowników, pod tryumfalnym baldachimem, z ciemnozielonego aksamitu, na którym wyszyte były złotem liście dębowe i żołądzie, znaki herbowe domu Juljusza della Rovere.

Biskup, zaufany kardynała Soderini, spotkał Buonarottiego we drzwiach, wziął go za rękę i jął uspakajać:

— Jakże się czujesz, synu mój. Główna rzecz, by nie tracić ducha. Bóg miłosierny, papież dziś w dobrym humorze. Nie obawiaj się, będziemy mówili za tobą.

Michał Anioł spojrzał na biskupa: był to ruchliwy człowieczek, o bardzo powszednim wyrazie twarzy.

— Głównie, nie tracić ducha — powtarzał z troską. — Złóż pan ręce, patrz Jego Świątobliwości wprost w oczy, on to lubi. Przybierz wyraz twarzy skromny, pokorny.

Biskup poprowadził artystę do tronu papieskiego. Michał Anioł przykląkł.

Juljusz z podelba nań spojrzał i w tejże chwili oczy odwrócił. W starczych palcach ścisnął on rączkę kościaną swego rozgłośnego, pastorału.

Wreszcie Juljusz wyrzekł cicho, ponuro:



— In cambio di venir tu a trovar noi, tu hai aspettato che veniamo a trovar te? \*)

Jego Świątobliwość chciał powiedzieć tym, że Bolonia znajduje się bliżej Florencyi, niż Rzymu, że zatem on pierwszy przyjechał do Michała Anioła, do Bolonii.

Artysta wypowiedział naprzód już przygotowane słowa, usprawiedliwiające jego postępek, zapewnił, że nie miał zamiaru urazić Jego Świątobliwości. Pozwolił sobie opuścić Rzym, sądząc, iż snąć więcej papieżowi nie potrzebny.

Juljusz nie odpowiadał, siedział, spuściwszy głowę. Wyraz twarzy miał zły, brwi ściągnięte, kąty ust starczo zaciśniętych i wpadniętych, kurczowo drgały. Nastąpiło milczenie.

W tej chwili pokorny biskup zdecydował, że czas już wstawić się za winowajcą, że sprawa w przeciwnym razie może źle się skończyć. Śród złowróżbnego milczenia wyrzekł:

— Wasza Świątobliwość raczy darować i nie gniewać się na tego biedaka. Tacy to już ludzie ci artyści i trudno nawet czegoś od nich żądać, to nieuki, ludzie bez wykształcenia, bez wychowania, nie znają nic, prócz swego rzemiosła..

— Głupcze!—krzyknął papież tonem, od którego pod biskupem zadrżały nogi, ty sam mówisz mu głupstwa, których my byśmy nie rzekli. Głupiec nie on, lecz ty sam. W małym palcu czło-

---

\*) Zamiast zjawić się przed nami, czekałeś, byśmy przyszli do ciebie.

wiek ten ma więcej rozumu, niż ty w całej swej głowie. Idź!

Wściekle zamachnął się pastorałem na biskupa, stojącego półżywym.

Wówczas masztalerze, lokaje, dworacy otoczyli, odsunęli go, najpierw zlekka potrącając łokciami, potem już bez ceremonii, według wyrażenia samego Michała Anioła, opowiadającego w następstwie nieraz o tem przyjaciółom, wyprowadzając za drzwi „lokajskimi kułakami”.

Papież zerwał napierśnik na biskupie. Wszyscy odetchnęli swobodniej. Juliusz rozkazał artyście podejść, podniósł schyłonego i laskawie pobłogosławił.

— Cudak jesteś—wyrzekł i uśmiech zaigrał mu na wargach. — Czegoś stchórzyl? Myślałeś, że cię zjem, czy co?

Potem twarz jego przybrała znów wyraz surowy, pochylił się i rzekł doń na ucho, szybko i cicho, by otaczający nie mogli dosłyszeć:

— Nie wierz oszczercom, jak i ja nie wierzę i wiedz, Buonarotti, że póki żyć będziesz, nie znajdziesz człowieka, któryby tak cię lubił, jak ja.

Objął go, pocałował w czoło i obaj odczuli, że się wzajem rozumieją.

## XI.

Wkrótce po tem spotkaniu, papież, jeszcze będąc w Bolonii, przykazał artyście, by go wyrzeźbił w olbrzymiej figurze, odlanej z miedzi

i umieścił we wnęce, nad głównem wejściem kościoła św. Petroniusza. Na wykonanie obstalunku tego złożył w banku messire Antonia-Maryi Legnano tysiąc skudów. Buonarotti wziął się energicznie do roboty i przed wyjazdem Juljusza do Rzymu, model z gliny już był gotów.

Pewnego razu przyszedł doń papież, by przyrzec się robocie. Statua przedstawiała Ojca Św., błogosławiącego naród prawą ręką, lecz artysta był w kłopotcie, co zrobić z lewą.

— Może książkę zechce trzymać Wasza Świątobliwość—zapytał Juljusza.

— Książkę?—wykrzyknął papież—o nie, jam człowiek nieuczony. Nie książkę, lecz miecz. *Mettivi una spada che io non so di lettere.*

Potem, wskazując groźny ruch podniesionej prawej ręki, zapytał go z uśmiechem:

— Czy to ma być błogosławieństwo, czy przekleństwo?

— Wasza Świątobliwość — odrzekł Michał Anioł—mówi mieszkańcom Bolonii, że ich ukarze, jeśli będą nieposłuszni.

Buonarotti spędził szesnaście miesięcy w ciężkiej pracy, w troskach i niedostatku, przy odlewie tej statui. Była wreszcie gotowa: nad wejściem kościelnem siedział papież miedziany, niby żywy, z ręką prawą podniesioną, w lewej jednak trzymał nie miecz, a klucze Piotrowe.

Posąg ten przepadł następnie bez śladu. Obywatele Bolonii, witający niedawno okrzykami zachwytu Juljusza tryumfatora, gdy powrócili, wygnani przez papieża książe Bentivoglio, z krzy-

kiem i kłótwami ściągnęli sznurami posąg na plac i rozbili go. Książę Alfons d'Este, wielki znawca i amator artylerji, kazał zeń odlać olbrzymie działo, chrzcząc je imieniem Juljusza.

Michał Anioł skończył robotę, wrócił do Rzymu i spodziewał się, że papież pozwoli mu kończyć grobowiec.

Lecz wróg czuwał. Bramante nie mógł się uspokoić, obmyślał środki dla poróżnienia papieża z Buonarottim i w tym celu przywołał z Urbina krewnego swego, dziarskiego Rafaela Sanzio.

Odgadł, że Rafael będzie jedynym przeciwnikiem groźnym dla Buonarottiego, nie w rzeźbie, lecz w malarstwie. Bramante postanowił wciągnąć Michała Anioła do pracy malarskiej i jął namawiać papieża, by pokryć kazał freskami ściany niedawno przerobionej kaplicy Sykstyńskiej, dodając, że na całym świecie niema zdolniejszego ku temu człowieka nad Michała Anioła. Bramante spodziewał się, że Buonarotti nie przyjmie obstalunku, tem narazi sobie papieża, jeśli zaś nawet zgodzi się, to sławę jego, jako malarza, zaćmi Rafael.

Michał Anioł pojął plan przeciwnika i starał się uniknąć obstalunku.

Namawiał ze swej strony papieża, by rzecz tę poruczył Rafaelowi, że on sam odwykł od malarstwa, nie rozumie dobrze i nie lubi tej sztuki. Trzeba jednak było znać Juljusza: czem Michał Anioł bardziej się opierał, tem niezłomniejszą stawała się wola papieża. Sprawa groziła nowym sporem. Bramante cieszył się w duszy.

— Trafila kosa na kamień—mówił on do swych przyjaciół, zaciągając wesoło ręce.

Wreszcie Michał Anioł pojął, iż wszelki jego opór bezskuteczny i, biorąc na odwagę, zaczął przygotowywać rysunki.

Kaplica Sykstyńska była budowlą długą i wąską, o wysokich oknach, gładkich gołych ścianach, bez żadnych upiększeń. Podłużny sufit, lukowo spadający, światło miał dobre. Pragnąc pozostawić dużo wolnego miejsca dla uroczystości kościelnych, papież nie dał zbyt wiele zagradzać dolnej części kaplicy. Trzeba było rusztowania stawiać tak, by trzymały się bez podpórek, łącząc się z ziemią tylko wąskimi drabinkami.

Papież budowę tych rusztowań powierzył Bramante. Ten długo się biedził jak się wziąć do tego. Wreszcie obmyślił sposób: poczynił w dachu i suficie niewielkie otwory, w których poprzesuwał sznury, na tych zaś miały się trzymać lekkie, wiszące mostki. Ta skomplikowana siatka pajęczna, sprytny wymysł napowietrzny — była cudem sztuki, lecz cudem bezużytecznym.

Michał Anioł, ujrawszą ją, roześmiał mu się w oczy:

— A cóż zrobimy z dziurami, gdy będziemy musieli pokrywać miejsca te farbami?

Bramante zmieszał się, wzruszył ramionami i odrzekł, iż inaczej zrobić nie można, jeśli ma się nie dawać podpór z dołu, na co papież nie pozwala.

Wtedy Buonarrotti poszedł do Juliusza, oznaj-



mając mu, że rusztowanie Bramante nie zda się na nic.

— Jeśli on nie umie, w takim razie zrób sam,— odrzekł papież, rzucając gniewne na architekta spojrzenie.

Bramante poczuł, że wpadł w dół, który kopał dla innego.

Michał Anioł rozebrał ową sieć pajęczą i zarobił dziury. Sznurów tych było tak wiele, iż za pieniądze wzięte za nie, pomocnik Michała Anioła, cieśla Cosimo, który je od pana swego w podarunku otrzymał — wydał za mąż dwie córki.

Buonarotti zrobił rusztowania bez sznurów, zręcznie przytwierdziwszy występy belek do gzymśów, w ten sposób łącząc i przeplatając deski, iż stawały się tem mocniejsze i bezpieczniejsze im więcej nakładano na nie ciężarów.

Budowa ta otworzyła oczy Bramantemu, skorzystał on z tego sposobu, robiąc następnie rusztowania do kościoła św. Piotra.

Buonarotti, obawiając się, iż braknie mu sił dla wykonania całkowitego pomysłu, zawezwał z Florencyi artystów: Granaccio, Buggiardino, Bastianodi i San-Galo.

Spostrzegł jednak wkrótce, iż pomocnicy są bezużyteczni: drażnili go tylko uporem i nieumiejętnością. Zaczął ich unikać, wreszcie rozstał się z nimi. Odjechali obrażeni i niezadowoleni.

Michał Anioł zabrał się sam jeden do pracy. Na rusztowanie nie wpuszczał nikogo, prócz milczącego Cosimę. Stał naprzeciwko niepokona-

nych prawie trudności i postanowił zwyciężyć je bez niczyjej pomocy.

Skończywszy pierwszą część, rozebrał część rusztowania, przekonał się, że rozmiary figur są za małe, nie odpowiadają wysokości sklepienia. Więc zniszczył robotę, zaczynając ją od początku.

Obraz potopu był już gotów, gdy spostrzegł Michał Anioł, że na ścianach, pokrytych świeżem wapnem, pod działaniem północnego wiatru „tramontano” wystąpiła przez noc pleśń. Zobaczywszy białawe szpetne smugi, pod którymi przybladły barwy, a gdzieniegdzie zupełnie znikły — pobiegł do papieża.

— Mówilem Waszej Świątobliwości, że malarstwo nie moja specjalność. Wszystko, co dotąd zrobiłem — przypadło. Jeśli Ojciec Święty nie wierzy mi niechaj przyśle kogokolwiek.

Papież wysłał Juljana di San-Gallo. Ten, opatrzwszy ściany, zrozumiał, że Michał Anioł nakładał zbyt świeże wapno: wilgoć wskutek nocnego zimna wystąpiła jako pleśń. San-Gallo pocieszył przyjaciela, nauczył go, jak ma zdejmować pleśń w ten sposób, by to nie niszczyło malatury.

Była to ostatnia próba Buonarottiego, by uwolnić się od nienawistnego obstalunku, ostatnia nadzieja, za którą się chwycił, jak tonący brzytwy. Teraz zaszło to, czego obawiał się najbardziej: praca pociągnęła go, męczyła, jak ciężka bolesna choroba. Zdało mu się, że umrze lub zwaryuje, jeśli jej nie skończy, lecz już nie mógł się powstrzymać. Niespełnione — ciągnęło jak przepaść, jak oblęd. Taką już miał naturę. Po-

gardzał tem, co łatwe. Więc jął się pracy z jakąś otchłanną, nie cofającą się przed niczem stanowczością, z szybkością, nie do wiary, pochłaniającą wszystkie fizyczne i duchowe jego siły.

Malował, leżąc, przechyliwszy głowę, by móc widzieć sufit. Ciało jego do tego stopnia przywykło do tej męczącej pozycyi, iż gdy powstawał na nogi i prosto trzymał głowę — zdawało mu się, że nic nie widzi. Wzrok mu osłabł, bał się że oślepnie, cierpiał na bezsenność i zawroty głowy. Chcąc czytać listy i książki, musiał podnosić je nad głowę i przewracać w górę oczy. Całymi tygodniami nie schodził z rusztowania na ziemię.

Gdy zaś kiedy zeszedł — wówczas, pochyliwszy głowę, ponury, milczący, śpieszył wesołemi ulicami Rzymu, ze wstrętem czując na swem znużonem obliczu ciekawe spojrzenia ludzi. Zdawało mu się, że wyszedł z grobu. Codzienne, wesołe twarze były dlań obce i nienawistne bardziej, niż kiedykolwiek. Ujrawszy zdala znajomego, obchodził go, by się z nim nie spotkać. Gnębiło go ustawiczne podejrzenie, iż podpatrują go wrogowie, wysłani przez Bramante. Na grzeczne ukłony przyjaciół nie odpowiadał, odwracając się. W mieście poczęto mówić o tem, iż Michał Anioł niespełna rozumu, że cierpi na czarną melancholię.

## XII.

Pewnego razu w dzień upalny, gdy pod sufitem było nieznośne gorąco, Michał Anioł praco-

wał od samego rana, leżąc na swej ławce ruchomej, sunącej się na kółkach. Głowę miał zarzuconą na drewniane wezglowie, pokryte wołokiem, by nie tarło szyi: pot występował mu na czoło, z sufitu padały na twarz krople farby niewyschniętej, pędzlem przed chwilą położonej. Przywykł już do tego i nie zwracał na to uwagi. Twarz jego w różnokolorowe smugi i plamy, zdawałaby się śmieszną, gdyby nie była tak straszną i brzydką.

Kompozycja przedstawiała stworzenie pierwszego człowieka. Bóg Ojciec w porywie gniewu, otoczony aniołami, zstępuje z nieba, pochylając się nad ciałem, leżącego na ziemi Adama. Za chwilę dotknie go ręką, by nadać mu życie. Michał Anioł nakładał ostrożnie lekkie, delikatne cienie, kończąc rękę Adama, bezradnie wyciągniętą do Stwórcy, rękę o mięśniach olbrzymich, lecz jeszcze bez życia, więc słabą, niby ręką śpiącego dziecka, które powinnyby, lecz zbudzić się nie może.

W dole, na schodach, dało się słyszeć skrzypienie desek. Buonarrotti obawiał się zawsze, by go nie zaskoczono raptownie. Wstał z ławki, podszedł pod drzwi, umyślnie tak urządzone, by nikt nie mógł wejść na rusztowanie, jeśli Michał Anioł zamknie je od wewnątrz. Trzebaby było wyłamać drzwi, żeby wejść do tej powietrznej twierdzy.

— Kogóż tam znowu licho niesie, — pomyślał artysta ze złością, kryjąc się za deski tuż przy drzwiach, w ten sposób urządzone, by można było widzieć, kto idzie po schodach. Trwoga okazała się bezpodstawną. Michał Anioł zapom-

niał był, iż wysłał Cosima do pobliskiej piekarni „fornaio” po kupno chleba i wędliny.

— Ach, to ty wystraszyłeś mnie, myślałem, że znowuż ktoś lezie. Co to, list?

— Poczta z Florencyi!—odpowiedział ponury cieśla, drapiąc się po schodach.

— Dawaj, dawaj prędzej...

Wziął list, lecz przed tem pomyślał, iż lepiej będzie najpierw skończyć, dać ostatnie cienie, gdyż potem można ich nie odnaleźć. List może go rozstroić i pozbawić na cały dzień sił do pracy. Myśli o rodzinie, listy od ojca i braci były jedynym oddźwiękiem oddalonego życia. Ostatnimi czasy miał wciąż z Florencyi złe wieści: młodszy brat, Giovanni-Simone, młodzieniec lekkomyślny, wiódł życie rozpustne, nie słuchał ojca, rujnował rodzinę, rzucał na wszystkie strony pieniędzmi, marnował te przeklęte, a święte zarazem pieniądze, które on, Michał Anioł, zarabiał z takim trudem, kosztem krwi własnej i cierpienia.

Niecierpliwie rozpieczętował list, przeczytał, twarz mu ściemniała, oczy zapłonęły. Z gniewem odepchnął nogą ławkę, która potoczyła się, jęcząc piskliwie i, pełen niezadowolenia jał chodzić tam i z powrotem po skrzypiących deskach.

Ojciec pisał doń o Giovanim, iż ten doszedł do tego, że kiedyś pijany powrócił do domu, grożąc ojcu pobiciem.

— Czekał, nauczę cię, niegodziwcze,—krzyknął Michał Anioł, wymachując rękoma, i nie zwracając uwagi na zamyślonego Cosima, który zresztą przywykł już zdawna do tych ożywionych mono-



logów swego pana. Skończywszy skromny swój posiłek, cieśla obojętnie zajął się szykowaniem wapna.

— Bydle jesteś, nie człowiek, — ciągał dalej Buonarotti, zwracając się do niewidzialnego przeciwnika — *anzi sei una bestia* i postąpię z tobą jak z bydlakiem. Czy ty rozumiesz, nie-szczęśny, grozę tego, by syn podnosił rękę na ojca, to sprawa o życie i śmierć.

Chwycił się za głowę z rozpaczą.

— Boże, dlaczego nie zostawią mię wreszcie w spokoju. Tłukę się po całych Włoszech, cierpię nędzę, poniżenia, narażam się na różne niebezpieczeństwa, wyczerpuję duszę swą i ciało— a wszystko to dla nich, dla ojca i braci. I oto, gdy udało mi się cokolwiek ich zabezpieczyć, nieco urządzić, ten głupiec chce zniszczyć wszystko, co zrobiłem z takim wysiłkiem. Klnę się na krew Chrystusa, iż nie będzie nic z tego! Potrafię się rozprawić, choćby nie jeden, lecz dziesięć tysięcy braci mi tu stanęło. Dość na plecach mych ciężaru, nie wezmę go więcej.

Kilkakrotnie próbował wziąć się do roboty, pokonać wzburzenie: kładł się na ławkę, zwykłym ruchem zarzucał głowę i opierał ją o drewniane wezglowie. Lecz za każdym razem podnosił się, rzucał pędzle i znów zaczynał chodzić tam i z powrotem. Tak już przywykł do swego rusztowania, że zupełnie machinalnie w pewnych chwilach, rozstawiał nogi, by przeskoczyć szczelinę między deskami. Złość go dusiła. Nie zdając sobie z tego sprawy, krzyczał i groził kulakiem.

— Pokażę ja ci, młokosie, co to znaczy rzucać na wiatr cudze pieniądze, niszczyć dom własny. Poczekaj szczeniaku, przyjadę do Florencyi, dobiorę ja się do ciebie. Nie będę zważał na twą dumę, messire Giovanni-Simone, będziesz ty na mnie płakał, jak dziecko pod różgami. Na ojca śmiał podnieść rękę! O dranie, lotry!

Cosimo, nie odrywając się od roboty, obejrzał się.

— To pan prawdę rzekł, messire, że wszyscy lotry. Popsuli się ludziska. Aż przykro patrzeć... Niedawno Bramante znów przystępował do mnie, pieniądze mi chciał dać, wiele tylko zechcę, bym mu pozwolił, gdy pana tu nie będzie, spojrzeć tu na robotę! Odpowiedziałem, że zrzucę ze schodów i jego, i tego młokosa z Urbino, bramanckiego natręta Rafaela, jeśli tylko ośmielą się przyjść tutaj.

Cosimo mówił sprostą, krótko, lecz obaj z panem rozumieli się dobrze pół słowem, a nawet i bez słów.

— Cosimo, masz tu gdzie pióra, kałamarz?

— Jakżeby też. Wszystko mamy, prócz chyba ptasiego mleka.

Cosimo dumny był ze swego powietrznego gospodarstwa. Nie śpiesząc się, podszedł w ką, gdzie były dwa posłania, począł szukać wśród stosu kuchennych garnczków, ubrań, butelek od wina, garnuszków z klejami, farbami, wśród pędzli, narzędzi stolarskich i rzeźbiarskich wreszcie odnalazł kałamarz, pióro, papier i podał to wszystko artyście.

Przysiadłszy na desce przy swej ławce, artysta napisał stanowczy, ostry list do owego brata swego, Giovanni-Simone, którego, mimo wszystko, najlepiej z braci swych kochał, odnajdując w nim duszę gwałtowną, podobną własnej.

Lecz tym razem wypowiedział wszystko, co o nim myślał, nawet nie starając się zmiękczyć wyrażen: *anzi sei una bestia*. Groził, że się z nim rozprawi, jeśli się ten nie opamięta. Michał Anioł, wysławszy list, odetchnął swobodniej.

Następnego dnia wziął się do roboty. Gdy spojrział na swą pracę — uczuł radość. Wiedział, że nie jest radość ta długą, że wystarczy mu skończyć coś, by całe dzieło mu obmierzło. Te jednak krótkie chwile złudnej radości były jedyną nagrodą, bez której artysta nie zniósłby może całej męki tworzenia.

Michał Anioł cieszył się, że przecież wyszło to tak, jak sobie obmyślił i że inaczej być w żaden sposób nie mogło.

Duchy błogosławione i cherubiny kryją się w potężnych fałdach Stwórcy, patrząc na pierwszego człowieka, brata swego, nieśmiało, z ciekawością i z trwogą, zaś w obliczu Pana jest wyraz dobroci, jest *wszystko* — *wiedza*. Jeśli jednak On tak dobry i zna wszystko, to dla czegoż stwarza istotę, skazaną na grzech i śmierć?

### XIII.

Zapadał zmierzch.

Artysta miał zamiar skończyć już robotę, gdy

w dole usłyszał niemiłe dla siebie stukanie i obce głosy.

— Messire Buonarotti, messire Buonarotti, wołano nań zupełnie bez uwagi, iż mogą mu przeszkodzić.

— Znowuż, do dyabła, — mruzczał artysta i chciał już posłać tam w dół jakieś przekleństwo nieproszonemu gościowi, lecz wyjrzał i spostrzegł w dole przy schodach papieża Juljusza w towarzystwie dwóch masztalerzy.

— Prędszej, messire Buonarotti. Czyż pan nie widzisz? Jego Świątobliwość czeka.

Otworzył drzwi, gdy się przekonał, że nie było z Juljuszem ni Bramanta, ni Rafaela Sanzio!

Zeszedł, powiedział dzień dobry i poprosił o błogosławieństwo, lecz z takim chmurnym wyrazem twarzy, iż starzec mimowoli się uśmiechnął; był dziś przy humorze.

— Ojcze święty, — wyrzekł Michał Anioł, — nie radzę wchodzić na górę. Stopień jeden złamany, cieśla nie zdążył zreperować. Nie daj Boże, zawali się — kości nie porachujesz. Przy tem już się ściemnia, więc i tak nie można nic widzieć.

Lecz papież niecierpliwie pchał go już na schody.

— No, no, nie upieraj się, leż pierwszy i daj mi rękę. Jeśli się zawali, obaj umrzemy — razem, jak żyliśmy.

Co było robić: trudny spór z papieżem. Michał Anioł wolno, ostrożnie jął wstępować w górę, pomagając starcowi i trzymając go za rękę. Ten odważnie wdrapywał się na wąską, bez przęseł, drabinę.

— Zdziczałeś już zupełnie na tych rusztowaniach, — podżartowywał Juliusz z towarzysza. — Trudno do ciebie przystąpić, wilkiem z oczu ci patrzy, tylko, tylko, a ugryziesz.

Szli wciąż wyżej.

Patrzącym z dołu zdawało się, że artysta uprowadza papieża w jakąś otchłań niedosiężną, do nieba samego. W mroku znikły zupełnie ich cienie złączone.

Wreszcie stanęli na rusztowaniu; starzec zmęczony, z trudem, ciężko oddychał, opierając się na ramieniu Michała Anioła.

Potem w milczeniu jął obchodzić rusztowanie i opatrywać freski. Czasem przez ciekawość podnosił kawałki grubego płótna, którem zakryte były w niektórych miejscach. Z przykrem uczuciem wiódł Michał Anioł Jego Świątobliwość za rękę, uprzedzając z grzecznością, jeśli było trzeba przeskoczyć otwór między deskami.

Papież niecierpliwie żuł jakieś słowa, które zbierał się wyrzec.

— Otoż, — myślał Buonarotti z nudą i ze wstrętem, — zaczną się rady.

Juliusz zbliżył twarz do Śybilli Kumejskiej,—



rozpatrując siłę mięśniów ogorzalej ręki, którą ta podtrzymywała księgę, czytając z niej proroctwo.

— Ot, cierpliwość, dyabelska anatomia,—wyrzekł papież, zwracając twarz ku artyście—klnę się na zbawienie, nic podobnego nie widziałem. Ależ to niemożliwe, słyszysz?

— Co niemożliwe, Wasza Świątobliwość?

— Mówią, iż niemożliwe tak pracować. To przechodzi siły człowieka. Kiedyż ty myślisz skończyć sufit, jeśli chcesz malować każdy mięsień, każdą żyłkę?

— Nie mogę inaczej,—wyrzekł Michał Anioł.

— Ale dla kogóż to, powiedz na litość, dla kogo? Gdy zdejmą rusztowanie, plafon będzie na takiej wysokości, iż wszystko jedno nikt twych zmarszczek, żyłek, mięśniów nie zobaczy. Trzeba dopiero stać tutaj i przyjrzeć się dobrze, by ocenić te drobiazgi. Pocóż tracić czas i siły?

— Nie mogę inaczej, — powtórzył Michał Anioł, nie kryjąc się z urazą.

— Uparty, jak papuga: nie mogę inaczej, nie mogę inaczej. A właśnie trzeba, byś mógł. Słuchaj, Buonarotti, jam stary, śmierć przedemną. Chciałbym, byś skończył pracę, zanim umrę. Musisz skończyć. Prędeż rób, słyszysz? Nie maluj drobiazgowo, tak chcę, słyszysz?

— W takim razie, Wasza Świątobliwość—wyrzekł Michał Anioł cicho i gniewnie,—trzeba było poruczyć robotę komu innemu, np. temu zręcznemu, młodemu człowiekowi, Rafaelowi z Urbino, ulubieńcowi Bramanta i Jego Świątobliwości. Oni

szybko wymalowałiby cały plafon, nie krępując się zmarszczkami, muskulami, których w istocie czerni, patrząca z dołu, nie oceni. Godzę się zniszczyć całą swą pracę, lecz nikomu zepsuć jej nie pozwolę.

Juljusz stuknął laską w deski rusztowania.

— Co, coś ty rzekł? Powtórz. Czy chcesz, bym cię zrzucił stąd?

— Jeśli trzeba, gotów jestem powtórzyć, — odrzekł Michał Anioł ze spokojem, — rzekłem, iż palcem nie poruszę prędzej, niż będzie to potrzebne dla mej roboty, a skończę nie prędzej, jak będę mógł.

— Będę mógł, będę mógł! — krzyknął papież, drżąc ze złości i napierając na artystę. — Poczekaj, niegodziwcze, nauczę cię, jak winno się mówić do ojca św., swego dobroczyńcy.

I dwukrotnie uderzył go laską.

Michał Anioł w milczeniu spojrział mu w oczy. Pod wejrzeniem tem Juljusz zamilkł. Za chwilę żałował już swego wybuchu. Gdy zeszli z rusztowania, starzec obejrzał się na towarzysza, chciał snać wyrzec coś doń na pożegnanie, lecz, widząc twarz chmurną artysty, zmieszał się i, rozgniewany na samego siebie, wyszedł zmieszany ze swą świtą.

Tegoż wieczoru przyszedł do Buonarottiego ulubieniec papieski, młody Accorsio, oznajmił, że przysłany jest przez Jego Świątobliwość i wręczył mu woreczek z pięciuset dukatami, prosił, by Buonarotti zapomniał urazę, starając się moż-

liwie uniewinnić swego pana. Accorsio był przy tem tak czarujący, mówił z tak ujmującym uśmiechem i kobiecym wprost wdziękiem, iż Michał Anioł nie próbował nawet sprzeciwić się, nie był zdolny gniewać się, wziął podarek, pocałował malca w czoło i puścił wolno, rzekłszy, iż darował już Jego Świętobliwości urazę. Zrozumiał jedno: Juljusz gotowy był na wszystko, by tylko się pogodzić, bojąc się, że Michał Anioł powtórnie Rzym opuści, uchodząc do Florencyi.

#### XIV.

Wreszcie nadszedł dzień tak niecierpliwie oczekiwany przez Juljusza. Plafon był gotów. Michał Anioł rozkazał zdjąć rusztowanie w dzień Wszystkich Świętych 1512 r. Jeszcze tumany pyłu nie legły na ziemię, gdy nadszedł już papież w otoczeniu prałatów, biskupów i kardynałów. Ukośne promienie słoneczne padały przez wąskie okna kaplicy, przecinając błękitnymi snopami kłęby pyłu. Niby przez lekkie dymy mgły zobaczył papież dzieło Buonarottiego. Zdalo się Juljuszowi, że ściany i sufit rozstały się i on stanął twarzą w twarz wobec roztwierającej się otchlani.

Pośrodku w dziewięciu obrazach było odtworzenie powstania z chaosu nieba i ziemi, słońca i księżyca, wód i roślinności, pierwszego człowieka, żony jego, wychodzącej na rozkaz Stwórcy z żebra Adamowego, dalej pierwszy upadek, ofiara

Kaina i Abla, potop, wreszcie scena Sema i Chama wobec nagości śpiącego ojca \*).

Wokoło tych obrazów we wnękach i framugach duchy swobodne, bóstwa pierwszych żywiołów (przeszło 60 figur uzupełniających architekturę gmachu — przyp. tłómacz.) w płasach i śpiewach towarzyszą w weselu, niefrasobliwe, całej tej wszechświata tragedyi. Pod nimi prorocy, sybille, giganci — przytłoczeni mądrością i smutkiem.

Niżej jeszcze — przodkowie Nazarejczyka, pokolenie, przekazujące sobie wzajem brzemię życia, męczące się w mękach urodzin, życia i śmierci. Ci nie brali udziału w mądrościach proroków i sybill, nie słyszeli gniewu pańskiego, co poruszył korowód duchów. W ciszy rodzinnej, w troskach domowych kochali tylko, pielęgnowali dzieci swe w oczekiwaniu nadejścia Zbawiciela.

W ten sposób Michał Anioł dał wyraz trzem stopniom bytu: wesolość bogów, mądrość proroków, miłość macierzyńska.

\*) Właściwie mamy tu dziewięć tematów w ośmiu obrazach: 1) Bóg, unoszący się w przestworzu, 2) Stworzenie światła, 3) Stworzenie człowieka, 4) Stworzenie Ewy, 5) Kuszenie Adama i Ewy i część druga wypędzenie ich z raju, 6) Ofiara Noego, 7) Potop, 8) Scena drwin z Noego. W zagięciu sklepień 7 proroków: Zacharyasz, Jeremiasz, Joel, Daniel, Izajasz, Ezechiel i Jonasz. Tutaj też pięć Sybill: Perska, Libijska, Delficka, z Erytry i z Kum. W rogach 4 kompozycye: 1) Dawid zwycięzca, 2) Wąż miedziany, 3) Kara, 4) Judyta ścinająca głowę Holofernesa.

(*przyp. tłómacza.*)

A jednak tragedia Boga i człowieka, tajemnica bytu samego nie została rozwiązana ani wesołością, ni miłością, ni mądrością.

Obejrzawszy plafon, Juliusz objął serdecznie Michała Anioła.

— Cześć ci, Buonarotti, — wyrzekł, a lzy błysnęły mu w oczach, — cześć tobie i mnie, bo wiem gdyby nie mój upór, gdybym nie stał był przy tobie, nie dokuczał ci, nie popędzał, nigdy byś nie mógł skończyć tego.

Jeden z kardynałów, uważając się za znawcę sztuki, rzekł, wskazując na plafon:

— Warza Świątobliwość czy nie znajduje, iż trzebaby przybrać to dzieło złotem i akwamaryną? Dla prostego ludu ten sufit wyda się ubogim. Złoto nigdy kościele nie wadzi.

Papież z uśmiechem zwrócił się do Buonarottiego:

— Cóż ty na to?

— Powiem, wielebny ojczy, że więcej nie tknę plafonu: jak zrobiłem tak zrobiłem. Naturalnie możnaby złotem i akwamaryną przybrać według zwyczaju kościelnego. Lecz po co? Ludzie, obrażeni na mych obrazach, nie są z tych, którzy się stroją w złoto i purpurę.

Tłumem schodzili się Rzymianie do sykstyńskiej kaplicy. Wokoło mówiono o nowych freskach, nawet handlarki na rynkach gadały wciąż o nich. Wszystkie modne Rzymskie kurtyzany, nawet znakomita, znana ze swej lekkomyślności „Madrema non-voilée” — sprzeczały się, wyroku-



jąc, kto większym malarzem: Michał Anioł czy Rafael.

Zaś sam Buonarotti chodził jak we śnie. Tak przywykł w ciągu tych dwudziestu miesięcy do swej roboty, że teraz bez niej czuł się więcej, niż kiedy, osamotnionym. W duszy miał zasłużonego uczucia radości, miał nudę i pustkę.

Do kaplicy swej prawie nigdy nie chodził, nie chcąc słyseć głupich sądów o sobie i głupszych jeszcze zachwyków.

## XV.

Pewnego razu potrzebny mu był skórzany worek z papierami i listami, zostawiony w skrzyni wśród stosu jeszcze nie uprzątniętych rusztowań. Szczęściem, dnia tego nie było tu zbyt tłumno — naród zebrał się w kościele św. Piotra z powodu jakiejś uroczystości.

Michał Anioł jął szukać w skrzyni, niewidzialny przez nikogo; zrzucone w tem miejscu deski i drągi rusztowań całkowicie go kryły. Artysta z tajemnym żalem patrzył na ruiny swej niedostępnej twierdzy, gdzie spędził tyle dni pamiętnych.

Odszukując potrzebny mu worek i rozpatrując się w gruzach i rupieciach, starannie przechowywanych przez *kosima*, usłyszał w pobliżu spór dwu głosów. Sądząc z mowy, jeden był cudzoziemcem, przybyłym skądś z północy, najpewniej flamandzkim artystą, w drugim Buonarotti poznał Wenecyanina, gdyż toskańskie *g* wymawiał

on dziecinnie miękko i śpiesznie, niby z Messira Giorgio, towarzysza swego, nazywał on Ziorzio.

Buonarotti starał się nie zwracać na nich uwagi, lecz pewne słowa uderzyły go i sprawiły, iż jął z ciekawością przysłuchiwać się rozmowie.

— Co, jeszcze pan się spierasz, messire Ziorzio,—gorączkował się Wenecyanin,—nie, nie, zaiste, wszystkimi wziętymi razem komentarzami Awerroesa i Arystotelesa nie dowiedziesz pan, by kiedykolwiek Rafael stworzył coś podobnego, jak to malowidło.

— Jakim sposobem, messire Federigo, chcesz tego dowieść? Rafael jest jeszcze młody,—odrzekł powolny, chłodny Flamanczyk.

— Tak, młody, messire Ziorzio, lecz już wykazał, co umie. Można to widzieć, jak na dłoni. Rafael naśladuje zawsze.

— Naśladuje przyrodę, tem lepiej, — rzekł Giorgio.

— W tem rzecz cała, iż nietylko przyrodę. Pierwej naśladował nauczyciela swego Peruggina, potem Leonarda da Vinci, potem stare malarstwo, które odnalazł w starych rzymskich katakumbach. Teraz zobaczysz, że zaczniesz naśladować Michała Anioła. Rafael bierze od każdego.

— Bierze od każdego i każdemu zwraca stokrotnie; stare czyni nowem, cudze — własnem.

— O, nie spieram się, to wielki artysta, największy i niezrównany jako naśladowca. A czyś pan słyszał, messire Ziorzio, że gdy plafon nie był jeszcze skończony, czynił on starania przez Bramanta, by Jego Świątobliwość odebrał robotę

Buonarottiemu i oddał drugą połowę pracy—jemu. Widzisz pan, czuje on słabą swą stronę, inaczej nie chwyciłby się podobnych sposobów.

— Mówisz pan w danej chwili o człowieku, nie o artyście, messire Federigo. Mnie zaś nic do człowieka.

— Jaki człowiek, taki artysta. Rafael zbrudził się chciwością. Lubi on sztukę i sławę, lecz więcej tłuste kąski ze stołu kardynałów, swój wspa-  
niały palazzo, zbudowany dlań przez Bramanta, swe konie i swe nałożnice. Maluje madonny, a żyje jak bisurman ze stada epikurejczyków. Oszukuje prostodusznych, udaje nadziemskie stworzenie, gra rolę niewinnego marzyciela, lecz jednocześnie ten „fortunato garzon”, według wyrażenia mego  
druha Francia, ten cherubin, co zleciał ku nam z wysokości Urbina — zadziwiająco zręcznie prowadzi swe sprawy. Zresztą ma to, czego chciał i na co zasługuje, tak, Rafael „szczęśliwy chłopiec” ma sławę nieśmiertelną. Cóż więcej? Pozostanie na zawsze bożkiem ludzi, lubiących w sztuce to, co miłe, dostępne, powierzchowne, ludzi czułości-  
kowych i małomyślnych, bogiem malarstwa dla tłumów.

— A któż jest bogiem wybranych?—zapytał Flamandczyk.

Messir Federigo wskazał sufit kaplicy.

— Ten, kio stworzył to i z którym nie radziłbym współzawodniczyć „szczęśliwemu chłopcu”.

— W słowach pańskich, Federigo, wiele się kryje prawdy, chciałbym jednak tutaj coś wyrazić, tylko, nie wiem, czy zdołam to w słowa ująć; źle

mówię po włosku i brak mi przyzwyczajenia, by o tych rzeczach rozprawiać.

Michał Anioł zdawna już zapomniał, po co przyszedł. Zaprzestał poszukiwań, chciwie zbliżył ucho do cienkich desek, by nie stracić ani słowa i, nie pojmując przyczyny, czuł tylko, że serce bije mu silnie. Ze drżeniem oczekiwał, co rzeknie Giorgio.

— Widzisz pan, messire Federigo — zaczął Flamandczyk powoli, płacząc się w słowach i jękając—mówi się: myśl... Naturalnie, nie mogę nawet spierać się, myśl jest u Michała Anioła. Myśli i wie, czego chce. Przytem siła, to rzecz główna. Siły takiej niema żaden. Gdy patrzysz, wciąż się dziwisz, widzisz, jak on chce zrobić dobrze, tak dobrze, jak dotąd nikt nie robił przed nim. Myślisz, jak mu to trudno przychodzi i jaką jednak ma on siłę. Buonarottiemu nic darmo nie przychodzi, co wypracuje, to i ma. Z Rafaelem jest inaczej. Nie widać, by pracował, zdaje się, jakoby wszystko zrobiło się samo, niespodzianie, nie stara się też, by to wyszło dobrze, a przecież wychodzi lepiej, niż tym, którzy się starają. Wszystko przychodzi mu lekko, darmo. Gdy patrzysz na posągi greckie, odkopywane z ziemi, również myślisz, że przecie nie trudno tak zrobić. A niechby kto spróbował. Łatwość, to właśnie to, co najtrudniejszego w sztuce, to, co bez Boga niemożliwe, równie jak cud. I to jest ważniejsze niż myśl, gdyż stąd wychodzą wszystkie myśli i tam wracają. Mówię cokolwiek niejasno, lecz może zrozumiesz mię. Michał Anioł jest przeciw

Bogu, a Rafael z Bogiem. Oto dlaczego łatwo mu zawsze, a dusza jego jasna, jak zwierciadło. Mówisz pan o pieniądzach, o koniach, kobietach. To wszystko sprawy drobne, życiowe. Po co nawet o tem mówić. Rafael może robić źle, żyć jak bałwochwalca, poganin, a mimo to, dusza jego jasna. Michał Anioł robi dobrze, żyje jak święty, lecz w duszy jego ciemno i strasznie, i nigdy światła nie będzie. A choć wiem, że Michał Anioł silniejszy od Rafaela, to przecież wspomnij pan słowa Pisma św.: „Bóg jest nie w burzy, lecz w ciszy”.

. . . . .

W trzydzieści lat po tej zasłyszanej przypadkowo rozmowie, pisał Buonarotti 24 października 1542 r., w zakończeniu listu do monsignora senegalskiego, biskupa Marka Vigueur'a, następujące słowa:

„Wynikła między mną a papieżem Juliuszem niezgoda była spowodowana zazdrością Bramanta i Rafaela z Urbino. W tem leży przyczyna, z powodu której papież nie zajmował się więcej grobowcem i to mnie zrujnowało. Co się tyczy Rafaela, miał on powód zazdrościć mi, gdyż wszystko, co osiągnął w sztuce, wziął odemnie”.

Mimo, iż czuł, że słowa te nie są sprawiedliwe, Michał Anioł napisał je, bowiem on to właśnie zazdrościł Rafaelowi, „szczęśliwemu chłopcu”.



## XVI.

Wiele lat upłynęło od chwili, kiedy Buonarroti skończył plafon Sykstyńskiej kaplicy. Zbliżała się starość, lecz mimo poniesione trudy i cierpienia, zdrowie jego nie słabło, owszem, zdawało się krzepkiem bardziej. Żartując, mówił, iż ludzie, mający do czynienia całe życie z kamieniem, pod koniec życia sami kamienieją. Twarz jedynie pokrywały zmarszczki, skóra czerniała, schła, stawał się coraz brzydszym. Gdy dzieci małe spotykały go czasem o zmroku, w jakimś pustym zaułku, uciekały, płacząc i opowiadały potem matce, że spotkały dyabła.

Wiktorya Colonna, wdowa po markizie Pescara, córka Fabricia Colonna, żyła, po śmierci męża, zdala od świata, jak mniszka, bogobojna, zachowała w sobie szlachetną dumę wielkiego rodu. Czcila geniusz Michała Anioła, wiedziała o jego dla siebie miłości, lecz nie dała mu nigdy zapomnieć, że należy do swego zmarłego męża, jedyne go człowieka, którego w życiu swem kochała.

Oboje zestarzelili się, a Michał Anioł nigdy nie mówił jej o swej miłości. Nawet w układanych dla niej wierszach, raczej czcił ją zdala, a madrygały jego i sonety pełne były nie namiętności, lecz platonicznego raczej uczucia.

„Rzeźbiarz—pisał do niej—obmyśliwszy posąg, najpierw lepi go w glinie, a potem dopiero rzeza młotem w kamieniu. Byłem podobnie i ja nie-

skończoną, glinianą formą, póki rylec twój, madonno, nie uczynił ze mnie nowego człowieka. Jakąż męka czeka me serce nieposłuszne, jeśli zechcesz do końca uczyć i karać je?”

Razu pewnego, w dżdżysty wieczór, w końcu lutego 1546 r., Michał Anioł udał się z domku swego, stojącego u podnóża Monte Cavallo, do klasztoru Santo Anna dei Funari, gdzie zawezwała go, przybyła do Rzymu z Viterbo, markiza Colonna.

Padał drobny deszcz, na ulicy było zimno, błotno i ciemno. Michał Anioł myślał o nastąpić mającym spotkaniu. Jednym z cierpień jego było to, iż nigdy nie mógł sobie przedstawić w myśli całkowicie twarzy ukochanej, choć pamiętał i znał poszczególne jej rysy. Oko duszy nie łączyło ich.

Słyszał, iż markiza w ostatnich latach bardzo postarzała. Wciąż spadały na nią jakieś smutki i nieszczęścia. Krewni jej zginęli w czasie zamieszek w kraju. Dumny ród Colonnów był poniżony i zniszczony przez papieży domu Farneszych. Wiktorya pozostała osamotniona, otoczona wrogami. Wiedział też, że niedawno przeszła ciężką chorobę.

Wchodząc na schody klasztorne i pytając siostr benedyktynek w którym z pokoi zatrzymała się markiza, czuł, że drżą pod nim kolana i wstyd mu było, że on, sześćdziesięcioletni starzec, czuje się onieśmielony, jak zakochany, młody chłopak.

Wprowadzono go do wielkiej celi o białych ścianach. Światel jeszcze nie zapalono. Poprzez zaplakane, mętne od deszczu okna, przedzierał

się zmrok szary. Dzwon na Angelusa miał w sobie coś pogrzebowego. Pośród mniszek ujrzał on siedzącą w fotelu markizę Wiktoryę. Serce mu się ścisnęło, miał przed sobą starą kobietę. W czarnym, jedwabnym stroju, wyprostowana, miała w sobie więcej, niż kiedy, dumę starego rodu, wdowy po markizie Pescaro, córki Fabricia Colonna, która swego czasu miała zostać królową Neapolu. Po przez muślin zasłony wdowiej, opuszczonej na czoło, okrywającej szyję, ramiona i piersi, zobaczył siwe włosy. Wyraz spokoju i smutku cichego osiadł wokoło zwiedłych ust i w oczach, które jedynie jeszcze pozostały pięknymi. Zauważył jednak i w nich wyraz inny, ową spokojną dobroć, znak starości.

Podszedł, witając ją z szacunkiem. Lekki rumieniec zaróżowił jej twarz. Po kilku słowach powitania, gdy mniszki odeszły w głąb celi, Wiktorya, nachylając się nieco, wyrzekła głosem cichym i nieśmiałym, z uśmiechem zawstydzenia:

— Zdziwiłeś się, przyjacielu, widząc mnie taką. Postarzałam bardzo.

Chciał jej odrzec, iż dla niego nigdy ona starą być nie może, że kocha ją, jak dawniej, więcej jeszcze, lecz nie ośmielił się, spojrzal tylko oczyma pełnymi tkliwości. Zrozumiała bez słów i odrzekła długim, wdzięcznym spojrzeniem. Tegoż dnia, na pożegnanie, markiza Colonna, po raz pierwszy w życiu, wzięła go za rękę i Michał Anioł, wspominając to, chodził przez kilka dni w oszołomieniu i radości.

Jął często teraz odwiedzać ją w klaszto-

rze świętej Anny. W obecności mniszek długo nieraz rozbierali tekst Pisma świętego, mówili o Bogu, o śmierci, o życiu przyszłym. Czuł się bliższym jej, pisał dla niej równie płomienne, jak przed trzydziestu laty, sonety, pełne czci, porównywując ją w nich z Beatricze i z Laurą, sławiąc jej nieśmiertelną młodość.

W tym czasie markiza znowu zachorowała. Pożerała ją febra i gorączka. Nikła i słabła w oczach. Myślał o śmierci jej, lecz nie wierzył, śmierć jej wydawała mu się nieprawdopodobną.

W miarę, jak zbliżała się wieczna rozłąka, uśmiech chorej stawał się coraz piękniejszym.

„Obiecuje mi tyle—pisał on w tym czasie, w dzienniku swym,—że gdy patrzę na nią, zdaje mi się, że staję się młodym, chociaż w istocie jestem już bardzo starym. Śmierć stoi między nami, a ja mogę ją kochać poprzednią miłością tylko w chwilach, gdy zapominam o śmierci. Lecz myśl ma powraca do tego coraz częściej, a gorączka miłości stygnie we mnie, przy zetknięciu z widmem śmierci—*dal mortal ghiaccio è spento il dolce ardore*”.

Przeczucie go nie omyliło; w początkach 1547 r., Wiktorya Colonna zmarła. Nie płakał nawet, lecz nie mówił do nikogo i na wszystkich robił wrażenie, iż stracił zmysły. Twarz jego wyrażała zdziwienie, jakąś tępą niemożliwość pogodzenia się z faktem.

Nie umarł jednak, nie zwaryował, tylko więcej jeszcze zdało się, iż skamieniał.

W dziesięć lat po śmierci Wiktoryi, Michał

Anioł opowiadał pewnemu artyście, jednemu z nielicznych uczni swych, młodemu Ascagno Condivi, życie swe, długie i smutne. Ten zapisywał fakty, by przeszły do potomności. Mowa była o Wiktoryi. Michał Anioł mówił o niej niewiele i spokojnie. Nagle rzekł głosem drżącym, zmienionym:

— Słuchaj, Ascagno, powiem ci to, czego nie rzekłem nikomu. Gdy była już w trumnie, poszedłem pożegnać ją i pocałowałem rękę, lecz nie ośmieliłem się pocałować jej w czoło. I oto dziesięć już lat męczy mnie ta myśl...

Zapomniawszy o obecności ucznia, długo siedział nieruchomy, zamyślony. I ciche łzy spływały po starych policzkach, siecią zmarszczek usianych.

## XVII.

Papież Juljusz przed śmiercią przykazał, by Michał Anioł kończył jego grobowiec i pozostawił na to pieniądze testatorom swej woli, kardynałom Santi Quattro i Aginense. Z miłością specjalną wznosił Michał Anioł pracę swych lat młodych. Następca jednak Juljusza rozkazał mu porzucić zaczęłą pracę i udać się do Florencyi, dla upiększenia marmurem fasady kościoła San Lorenzo. Michał Anioł błagał, by go pozostawiono przy pracy, motywując, iż przyjął już warunki testatorów Juljusza, lecz papież Leon nie chciał o tem słyszeć, mówiąc:



— Pozwól mi zakończyć tę sprawę, biorę to na siebie, iż zadowolnię wszystkich.

Posławszy po obu kardynałów, rozkazał im, by zwolnili artystę z zobowiązania.

Ze łzami w oczach opuścił Michał Anioł nieszczęsny grobowiec i udał się do Florencyi dla wypełnienia obstalunku swego nowego władcy.

Po śmierci papieża Leona, wrogowie Michała Anioła rozpuścili wieści, że Buonarrotti otrzymał za robotę grobowca jeszcze od Juljusza szesnaście tysięcy skudów, a, nic nie zrobiwszy, pieniądze schował do kieszeni. Cała sprawa ciągnęła się długo, rok rocznie gorzej płacząc, nie dawała mu na minutę spokoju, tak dokuczywszy, iż jął żalować, że oszczerstwo pierwotne przyjął milczeniem.

„Wciąż rzucają we mnie kamieniem tak, jakgdybym przynajmniej ukrzyżował Chrystusa -- pisał on w roku 1542 do biskupa Senegalskiego, prosząc go o obronę;—grobowiec Juljusza wprędce stanie się moim grobem. Zbytńia wierność, której nie umiano ocenić, zgubiła mnie. Taki los mój. Zowią mnie złodziejem i lichwiarzem, są tacy, którzy twierdzą, że m złożył na procencie pieniądze papieża Juljusza, wzbogaciwszy się nimi. Jeśli wasza miłość znajdzie słowo na mą obronę—proszę o nie, gdyż piszę tu najjistotniejszą prawdę. Nietylko przed Bogiem, lecz i wobec ludzi uważam się za uczciwego człowieka, gdyż nie oszukałem nigdy nikogo, a broniąc się przed napaścią nędzników, wprost czasem mam wrażenie, że rozum tracę.”

Kilkakrotnie w liście tym powtarzał z rozpaczą:

„Piszę prawdę. Rad byłbym, gdyby papież i świat cały mogli przeczytać list ten. Nie jestem złodziejem, ni lichwiarzem, ni rozbójnikiem jakimś, lecz obywatelem Florencyi, uczciwym synem uczciwego człowieka.”

Za życia papieża Klemensa, Buonarotti zaczął malować chór kaplicy Sykstyńskiej. Rozkazał pokryć ścianę rusztowaniem od góry do dołu. Papież Klemens chciał, by Michał Anioł przedstawił Sąd Ostateczny, jako epilog tragedyi, przedstawionej na plafonie. Lecz później różne inne sprawy oderwały artystę od tej pracy na długie lata, dopiero papież Paweł wznowił ją, żądając, by Buonarotti skończył Sąd Ostateczny.

Robota gotowa była w trzech czwartych, gdy Paweł zażądał, by ją mógł widzieć i ujrzał, że całą olbrzymią ścianę, przed którą stał ołtarz, przy którym miano odprawiać nabożeństwa, pokrywają nagie zupełnie ciała. Ni aniołowie, ni sprawiedliwi, ni grzesznicy nie wstydzili się swej nagości: powłoka ziemską spadła z nich i oto ludzie w całkowitej nagości, tacy, jakimi wyszli z łona matki swej, stanęli przed obliczem Najwyższej Sprawiedliwości. Wystraszony papież nie wiedział, co rzec.

Wreszcie zwrócił się do swego mistrza ceremonii, messire Biagio di Cezena, którego Vasari nazywa „persona scrupulosa”, pytając go, co o tem myśli.

Biagio odrzekł:

— Jest to najbardziej bezwstydnym obraz, jaki kiedykolwiek widziałem. Godnym jest nie kaplicy papieskiej, lecz łaźni publicznej lub oberży! Non opera di capella di papa ma da stufe e d'osterie!

Buonarotti słyszał te słowa i, łagodnie mszcząc się, nadał obliczu piekielnego sędziego, Minosa, twarz Biagia di Cezena.

Mistrz ceremonii poskarżył się papieżowi. Ten jednak rzekł mu z uśmiechem:

— Widzisz, mój drogi, jeśliby był pomieścił cię w czyścicu, to tam mógłbym jeszcze coś ci dopomódz, lecz do piekieł potęga ma nie sięga, gdyż tam—„nulla est redemptio.”

## XVII.

W czasach owych żył w Wenecyi znakomity pisarz, Piotr Aretino. Był on synem kobiety publicznej; dzieckiem jeszcze uciekł od niej, obrawszy ją z pieniędzy. Był kolejno introligatorem, mnichem, włóczęgą, lokajem, cierpiał głód, poniewierkę, poniżenia, lecz wreszcie piórem swym—„potem kałamarza”—według własnego wyrażenia, zdobył sobie sławę i pieniądze. Oszczercstwem, pochlebstwami, grozą paszkwili i obietnicą panegiryków wyciągał pieniądze i zapewniał sobie opiekę możnych tego świata. Nietylko włoscy magnaci, lecz i sam cesarz płacił mu roczną pensję. Król francuski darował mu łańcuch złoty, z języków żmii złożony, jako emblemat jego satyr jadowitych. Na cześć jego wybito medal z głową

poety w otoczeniu liści laurowych z łacińskim napisem: „Divus Petrus Aretinus flagellum principum” („Boski Piotr Aretino bicz panujących”), a na odwrotnej stronie: „Prawda rodzi niechęć” — „Veritas odium parit.”

Pod najgorszymi swymi paszkwilami, skierowanymi przeciw panującym, podpisywał się: „Divina gratia homo libero” („Z łaski Bożej wolny człowiek”). Zręcznie i szybko tworzył on wszystko na obstalunek. Z rozkazu Wiktoryi Colony pisał pobożne rozmyślenia i życie świętych, na prośbę ucznia Rafaelowskiego, Marcantonio, sonety do najbezwstydniejszych rysunków, do tego stopnia gorszące, iż papież, mimo wstawienictwo wielu kardynałów, wsadził go za nie do więzienia. W pysznym pałacu Casa Bolani na Canale Grande żył Aretino z królewskim przepychem, otoczony haremem wciąż innych kobiet i rzadkimi dziełami sztuki. Tycyan sam dbał o jego życliwość, malował go w portretach, darowywał mu swe dzieła. Ze wszech stron Włoch nadsyłano mu rysunki, bas reliefs’y, medale, brzozy, stare marmury, kamienie, majoliki, rzezane kamee, drogocenne wazy. Gdy pałac jego był przepelniony dostatkami — dzielił się łaskawie swą artystyczną zdobyczą z magnatami i panującymi, którzy, według jego mniemania, zasłużyli na to; według własnego wyrażenia, poeta oddawał królom tylko „okruchy ze swego stołu.”

Przez próżność, a jednocześnie przez wrodzone zamilowanie piękna, poeta zdawna cierpiał nad tem, iż w zbiorach swych niema ani jednego

dzieła Michała Anioła. Przez towarzyszy swych, Benvenuto Celliniego i Giorgia Vasari, oddawna już napomynał on Buonarrottiemu, iż kolej na niego, lecz ten nie raczył mu odpowiadać.

Wówczas pisarz postanowił sam ze swej strony zarzucić wędkę. W 1537 r. posłał Buonarrottiemu jeden ze swych utworów, szerzących się po Włoszech w tysiącnych odpisach.

Najpierw w piśmie tem hold mu składał, potem objaśniał, co w jego talencie najbardziej dlań cenne. Główna część utworu zaczynała się takim zwrotem:

„Ja, Piotr Aretino, pochwały i nagany którego mają tę siłę, iż sława i hańba ludzi odemnie jedynie zależne, tem niemniej mały i pokorny, pozdrowić śmiem waszą miłość, czego nie ośmieliłbym się, gdyby me imię nie osiągnęło pewnego blasku, dzięki powadze, jaką ono posiada wobec najpierwszych panujących chwili obecnej. Wobec jednak Michała Anioła, jam zawsze z szacunkiem. Panujących na świecie wielu, a Michał Anioł — jeden, zaćmił on sławą imiona Fidyasza, Apellesa.”

List był cały pisany w tym duchu, wreszcie gdy doszło do mowy o „Sądzie Ostatecznym”, Aretino dawał rady, uczył artystę, jak powinno się malować. W zakończeniu było ofiarowanie usług i gotowość sławienia imienia artysty.

Buonarotti odpowiedział krótko, grzecznie, a w przesadzonych pochwałach czuć było ironię.

Aretino udał, że nie zauważył ironii i w następnym liście prosił o podarowanie mu na pa-



miatkę choć jednego rysunku, jednego z tych, które artysta rzuca w piec. Michał Anioł nic na to nie odpowiedział i przez lat pięć Aretino pozostawił go w spokoju.

W roku 1544 zawiadomił Michała Anioła, że cesarz Karol V okazał mu niezwykle honor (stipendi onori), pozwalając jechać na koniu po prawej swej ręce. Cellini pisze mu, że Buonarrotti wybiera się do Aretina. Jest to najmiłsza dlań zapowiedź, bowiem kocha on i czci Michała Anioła. Płakał z rozkoszy, widząc reprodukcję „Sądu Ostatecznego.” Druh jego, Tycyan, również czci Buonarrotiego i wysławia jego imię.

Lecz Michał Anioł wciąż był milczącym. W dwa miesiące potem poeta przypomniał oczekiwany rysunek. I znowuż nie dostał odpowiedzi. Cekał rok, by znów się przypomnieć. Wreszcie otrzymał z Rzymu marne jakieś skrawki, będące raczej naigrawaniem się, niż rysunkiem. Napisał wtedy do Michała Anioła, że nie czuje się zadowolonym i oczekuje czegoś większego. I znowuż paromiesięczne milczenie. Wówczas wyczerpała się cierpliwość Aretina. Wysłał do Celliniego list z groźbami. Pisał, że Buonarrottiemu wstyd być winno, że powinien mu odpowiedzieć bez wykrętów, czy chce, czy nie chce spełnić obietnicy, wreszcie żądał stanowczo wyjaśnień, w przeciwnym razie miłość jego dla artysty zamieni się w nienawiść.

Pogróżka oddziałała równie bezskutecznie, jak pochlebstwo. W tym czasie Tycyan był w Rzymie, z czego skorzystał, by naplotkować

swemu protektorowi, Aretino, o Buonarottim i tym sposobem ostatecznie obu poróżnić.

## XXI.

W listopadzie 1545 r. Buonarotti otrzymał z Wenecyi list następujący:

„Messire, teraz, gdym zobaczył reprodukcję „Sądu Ostatecznego”, poznaję w pomyśle i sposobie wykonania niezrównany czar Rafaelowski. Jako chrześcijanin jednak, jako człowiek, który dostąpił chrztu św., wstydzę się tej wyuzdanej swobody, z jaką duch twój porwał się na to, co winno być celem ostatecznym wiary chrześcijańskiej.

Zatem ów Michał Anioł, którego wszyscy podziwiają, którego sława jest tak potężna, dowiódł ludziom, iż jest równie daleki bogobojności, jak blizki doskonałości w sztuce. Jakże to mogło się stać, by artysta, sam upodobniający się Bogu i — co z tego wychodzi — zrywający wszystkie ze zwykłymi śmiertelnikami stosunki, ośmielił się dziełem swem splugawić pierwszy ołtarz chrześcijański, świątynię Wszechmocnego, najpierwszą kaplicę świata całego, w której wielcy kardynałowie, sędziwi pasterze, sam Namiestnik Chrystusowy sprawia najświętszą Tajemnicę przemiany Krwi i Ciała?

Gdybym się nie bał uczynić przestępstwa porównaniem takich rzeczy, pozwoliłbym sobie

przypomnieć ci, messire, iż nawet w swych lek-  
kich dyalogach z życia kurtyzanek umiałem przy-  
oblec treść bezwstydną w słowa szlachetne i de-  
likatne... Ty zaś, Panie, mając do czynienia z tak  
podniosłym Przedmiotem, ośmielasz się pozbawiać  
aniołów ich sławy niebieskiej, a sprawiedliwych  
wstydlivości wrodzonej. Nawet poganie dawali  
odzież Dyanie, a wyobrażając nagą Wenerę my-  
śleli o tem, by przynajmniej skromny ruch ręki  
zastąpił odcienie. A pan, chrześcianin, doszedłeś  
do takiej bezbożności, iż ośmieliłeś się w kaplicy  
papieskiej urazić wstydlivość męczenników i świę-  
tych dziewic. Zaiste lepiej byłoby dla ciebie zu-  
pełnie wyrzec się kościoła, niż, będąc niby wie-  
rzącym, podobnie się znęcać nad wierzeniami  
swych braci. Bądź jednak pewien, iż niebo nie  
zniesie, by występne zuchwalstwo nieprzystojnej  
sztuki pańskiej pozostało bez kary. Im bardziej  
zadziwiający jest ten obraz, tem pewniejszym  
będzie on grobem pańskiej sławy”.

Następnie przechodził już Aretino do spraw  
osobistych, przypominając, iż artysta nie spełnił  
przyrzeczenia, nie przysłał mu rysunku.

„Właściwie, jeśli całe góry złote, otrzymane  
od papieża Juliusza, nie były w stanie popchnąć  
cię do spełnienia długu t. j. budowy przyobiega-  
nego grobowca, to czegoż może się spodziewać  
człowiek taki, jak ja? A przecież, wzięwszy do  
kieszeni cudze pieniądze i, złamawszy słowo, nie  
zrobileś pan tego, co trzeba było uczynić, zaś po-  
stępek taki zwie się poprostu złodziejstwem”.

W zakończeniu radził papieżowi, by ten zni-

szczył „Sąd Ostateczny” z równie bogobojną stanowczością, z jaką kiedyś papież Grzegorz niszczył wyobrażenia pogańskich bogów, bez względu na ich piękno.

„Jeśli byś pan posłuchał mej rady, — pisał zwracając się do Buonarottiego,—jeślibyś spełnił wskazówki, jakim ci dał w liście mym, treść którego dziś wszystkim wiadoma, a w którym naukowo wyjaśniam ustrój nieba, piekła i raj—to przyroda nie miałaby potrzeby wstydzić się, że wielkim geniuszem obdarzyła człowieka takiego, jak pan. List mój odgrodziłby dzieło twoje od wszelkiej nięchęci i zawiści po wszystkie czasy.

Pański sługa Aretino”.

List był pisany cudzą ręką, by Michał Anioł nie miał wątpliwości, iż jest rozpowszechniony po całym świecie, w końcu jednak były następujące słowa, ręką Aretina dopisane:

„Teraz, gdym w części wylał żółć swą, zebraną z przyczyny Pańskiej gburowatości, jaką odpowiedziałeś na mą dobroć i gdy śmiem się spodziewać masz pan dostateczny dowód, że jeśliś nawet (di vino—z wina) boski to i jam ze swej strony nie z wody (dell’aqua)—podrzej pan ten list, jakem i ja gotów go rozerwać i przyznaj, żem bądź co bądź, równie godzien odpowiedzi, jak cesarze i królowie”.

## XX.

Papież, przeczytawszy jedną z licznych krążących kopii listu tego—wystraszył się. Pierwszą

myślą jego było iść za radą Aretina i zniszczyć „Sąd Ostateczny.” Trudno było żartować. Ojciec święty bał się sam dla siebie, by nie dostać się w to miejsce, gdzie „nulle est redemptio”. Trudno było wątpić: list był oskarżeniem inkwizycyi.

Lecz, pomyślawszy, zdecydował, że przecież można tak tę sprawę pokierować, by wilk był syty i owce całe. Idąc za radą kardynała Karaffy, zawezwał Buonarotti'ego i rozkazał mu poubierać nagie ciała na obrazie. „Głównie aniołów,—mówił papież,—dyabłów możesz pozostawiać do polowy nagimi. Aniołów jednak i sprawiedliwych zechciej ubrać zupełnie. Nie w jakieś tam przepaski i gałganki na biodrach, lecz porządnie w długie suknie... Odżaluj swą anatomię, a skrzydeł nie pożaluj dodać komu przystało”...

Michał Anioł odmówił. Wówczas papież polecił tę robotę uczniowi jego, Danielowi da Walterra, który też gorąco wziął się do tego i w kilka dni później ku niemalej radości Pawła już św. męczennik Biagio ze zgrzeblem i św. Katarzyna z kołem, byli odziani. Walterra otrzymał sute wynagrodzenie za to, że zgodził się zeszpecić dzieło swego mistrza. Buonarotti poddał się temu, nie mówiąc nic, nawet nie przerwał dobrych stosunków z uczniem swym.

Wówczas już nietylko wrogowie, lecz i przyjaciele powstałi przeciw niemu, zapewniając, że musiał na starość stracić zmysły, jeśli zdołał bez sporu znieść podobne urągowisko swych dzieł.

Buonarotti zaś dla tego przyjął to obojętnie, iż właśnie wówczas umierał był jedyny jego przy-



jaciel, cieśla, Cosimo Urbino. W jednym z listów do Giorgia Vasari tak pisał Michał Anioł o tej śmierci:

„Ciężko mi w danej chwili coś napisać, jednak zbieram się, by coś nie co na pański list odpowiedzieć. Wiesz pan już o śmierci Urbina. Zdarzenie to było dla mnie zmiłowaniem, przyczyniło mi jednak wiele szkody i bólu. Zmiłowaniem jest to, iż ten, który dodawał mi ducha przez całe życie, umierając, nauczył mnie umierać bez szemrania, nauczył ukochania śmierci. Przeżył ze mną dwadzieścia sześć lat, zawsze pełen dobroci i rzadkiej wierności. Teraz, gdym go zabezpieczył, gdym się spodziewał, że będzie podporą mej starości, znikł, pozostawiając mi jedynie nadzieję zobaczenia się w życiu przyszłym. Nadzieją tą natchnął mię Zbawiciel przez śmierć jego spokojną, podczas której on nie tyle żałował, że sam umiera, ile, iż mnie pozostawia na tym zachłannym świecie, pośród przeróżnych trosk. Większą część mnie samego zabrał ze sobą—tutaj pozostały dla mnie same przykrości. Polecam się pamięci pańskiej”...

Michał Anioł przeżył panowanie sześciu papieży: Juliusza II, Leona X, Klemensa VII, Pawła III, Juliusza III, Pawła IV. Towarzysze i rówieśnicy odumarli go. Żył otoczony nowem, obcem sobie pokoleniem.

Wiosną 1549 r. ciężko zaniemógł. Doktory uspakajali go, lecz nie mogli nic pomóc. Nocami nie sypiał, jęcząc z bólu. Miał wtedy siedem-

dziesiąt pięć lat. Myślano, że zbliża się dlań koniec, lecz wyzdrowiał.

Z dniem każdym dusza jego była bardziej mroczną. Myślał wciąż o śmierci.

„Stary jestem,—mówił do ucznia swego, Condiva,—śmierć zabrała mi przedewszystkiem wszystkie me myśli młodzieńcze, kto chce zaś wiedzieć czem jest starość, musi mieć cierpliwość, by jej się doczekać. Inaczej nie można jej poznać.”

Wspomniał miłość swą dla Wiktoryi, lecz nadzieja spotkania jej w życiu przyszem nie sprawiała mu pociechy.

Pisał w swym dzienniku:

„Na wąskiej łodzi burzliwego morza życia dosiłem tego miejsca, gdzie winniśmy zdać sobie porachunek ze wszystkiego. Dopiero teraz widzę, jakim oszustwem była ma żądza dla sztuki, bowiem każde ziemskie pożądanie jest właściwie złudą i oszustwem. A z miłosnemi marzeniami niegdyś tak pełnemi życia i wesela co się stało dziś, gdy zbliżam się do dwóch śmierci, jednej—cielesnej nieuniknionej, drugiej—duchowej, grożącej mi? Ni malarstwo, ni rzeźba nie uspakajają dziś więcej mego serca. Zwraca się ono raczej do owej Wszechmiłości na Krzyżu, co ręce rozpościera, by nas przyjąć.”

Modlił się, lecz w duszy nie miał światła Chrystusowego, widział się osądzonym przez Boga na wieczną zgubę.

„Gorze mi, gorze... Wspominając lata przeżyte, nie odnajduję w nich ani jednego dnia, który

mógłbym nazwać swoim. Znane mi wszystkie ludzkie namiętności: płakałem, kochałem, bolałem, gorzałem, pragnąłem, nie czyniąc tem nic dla swego życia. I oto uchodzę. Cienie się wzmagają, słońce me zachodzi, lada chwila padnę znużony, wyczerpany”.

Pracował wciąż, jednak bez celu, bez wewnętrznej radości, raczej z przyzwyczajenia. Pewnego razu w końcu sierpnia 1561 r. upadł na ziemię bez czucia podczas swej pracy. Gdy zbiegli się domownicy, przywodząc go do przytomności, artysta objaśnił zemdlenie swe tem, że wstał bardzo rano i, nie nakładając obuwia stał przed swym roboczym kawałem przez trzy godziny boso, na gołej podłodze. W ciągu dwóch dni stan jego polepszył się. Chory mógł już jeździć konno i znowuż zabrał się do pracy, przygotowując rysunki architektoniczne do soboru św. Piotra. Miał wtedy osiemdziesiąt sześć lat—wydawało się, że człowiek ten nigdy chyba nie umrze.

Lecz znowuż na wiosnę 1564 r. objawiły się oznaki zbliżającego się końca. Siły jął zwolna tracić, całymi dniami i nocami czuł zimno, żadne okrycie nie mogło rozgrzać go, usunąć wewnętrzne zimno. Opanował go smutek. Przestał pracować. Młody lekarz z Florencyi, Federigo Donati miał go w swej pieczy.

## XXI.

Pewnego razu, wieczorem 14 lutego, Federigo podjeżdżał na mule pod dom Buonarotti'ego; w tym

czasie mieszkał on na placu starożytnego Forum Trajana tuż przy kościele Santa Maria di Loretto. Przed domem znajdował się maleńki ogródek, otoczony murem, nad którym rosły laury.

Dął zimny „tramontano” — na niebie sunęły niskie, szare obłoki. Doktor zdziwił się, widząc spacerującego Michała Anioła w ogródku podczas deszczu. Mokre, zeszlenczone liście laurowe szeleściły mu pod nogami. Wrona krakała jednostajnie na obmokłym dachu sąsiedniego domu.

— Messire Buonarotti, nie powinieneś pan wychodzić z domu w czasie takiej pogody, — zauważył doktor.

— Cóż robić, — odrzekł Michał Anioł, — nie-dobrze mi... Nie mogę sobie znaleźć miejsca. W domu jeszcze gorzej. Wyszedłem na spacer. Nudno, panie Federigo, tak nudno, iż trudno mi wypowiedzieć.

Jał chodzić szybko w jedną i drugą stronę od muru do muru, po maleńkim swym ogródku. Co chwila wpadał w jakąś kałużę, a zgniłe, zwiędłe liście szeleściły mu pod nogami. Mówił bez związku, z trudem szukając słów.

Dopiero przed samym końcem legł na łożo. Przyjął Najświętszy Sakrament, a zapytany, jaką jest jego ostatnia wola, rzekł:

— Duszę mą daję Bogu, ciało — ziemi, majątek — rodzinie.

Następnie prosił, by pochowano go w rodzinnej Florencji. 18 lutego, kiedy dzwoniono na Ave Maria — skonał. Śmierć miał cichą, spokojną.

Prośby Michała Anioła nie spełniono: został pochowany w Rzymie, w kościele św. apostołów. Cosimo Medici, hercog Florencyi, postanowił jednak sprowadzić ciało Michała Anioła. Za jego sprawą, wysłańcy nocą odkopali ciało, zaszyli w worek i zawieźli do Florencyi.

Florencka akademja sztuk pięknych postanowiła wyprawić mu uroczystość pogrzebową. Tłumy były tak liczne, iż akademicy z trudem zdołali wnieść ciało do kościoła. Postanowiono po raz ostatni spojrzeć na twarz nauczyciela. Otwarto trumnę, spodziewając się ujrzeć napół rozkładające się zwłoki, bowiem od dnia śmierci upłynęło dwadzieścia pięć dni. Ku ogólnemu jednak zdumieniu, ujrzano ciało nietknięte; zmarły leżał skurczony, zczerniały, wyschnięty, lecz bez śladu rozkładu, a wokoło szerokich, wpadniętych ust, były te same, złowrogie zmarszczki—śmierć ich nie wygładziła.

\* \* \*

Akademicy, chcąc uczcić pamięć artysty, zamienili kościół na muzeum. Wypełnili go alegorycznymi figurami, posągami, obrazami współczesnych artystów, uczniów i naśladowców Michała Anioła. Utwory te czyniły wrażenie martwych karykatur dzieł mistrza. Wystarczyło spojrzeć, by się przekonać, że sztuka upada. Lecz smutne myśli dalekie były od współczesnych. Przedewszystkiem tryumfował, mimo całą swą miłość dla zmarłego, znakomity artysta, sędziwy deputat akademii, Giorgio Vasari. Twarz jego wyrażała za-



dowolenie. Tegoż dnia opisywał on wspaniały ten pogrzeb mecenasowi swemu, księciu Cosimie Medici:

„Najlaskawszy, najjaśniejszy Panie mój!

Dziś zrana, 14 b. m., odbył się uroczysty pogrzeb boskiego Michała Anioła Buonarotti. Obrzęd mógł całkowicie zadowolić zebraną publiczność. Kościół San-Lorenzo był przepelniony szlachetnymi damami, znakomitościami i cudzoziemcami—było czemu się dziwić. Vice-prezydent akademii siedział pośrodku kościoła, naprzeciw katedry, członkowie akademii i towarzystwa rysunkowego zajęli miejsca według porządku. Poniżej akademików, siedziało dwudziestu pięciu młodzieńców, studujących sztuki plastyczne. Niektórzy z tych młodzieńców mają już odznaczenia. Publiczność, widząc zebranych w kościele osiemdziesięciu przedstawicieli malarstwa i rzeźby—była pełna zachwytu. Zdaje się, iż nigdy dotąd nie było tylu i tak znakomitych artystów.

Trudno mi tu wyrazić, jak gustownie ubrany był katafalk, jak był bogaty i wspaniały, jakie silne wrażenie czyniły stojące tuż posągi. Każdy z młodych ludzi starał się możliwie najlepiej wydatnić swe zdolności i tak dobrze wszyscy wypełnili swe zadanie, iż posągi, gdy je podrobiono pod marmur, uczyniły się jakby większe i piękniejsze jeszcze. Kościół ubrany był szkieletami oraz połączonemi trzema liliami, oznaczającemi trzy rodzaje sztuki. Szkielety wyrażać miały, zdaje mi się, żal, że przeznaczeniem ich przecinać życie kwiatów i że nic, przeciw temu porządkowi

przyrody uczynić nie mogą. Wśród szkieletów umieszczona była *Wieczność*, stojąca nad *Śmiercią*.

Prawdziwie, Panie mój, błogosławię razem z przewodniczącymi trudy i czas, użyty na zorganizowanie uroczystości pogrzebowej, bowiem pogrzeb ten był powodem uszczęśliwienia przez Waszą Wysokość akademii swem łaskawem przybyciem, za które akademie wyraża miłościwemu Panu swą najgłębszą i najczulszą wdzięczność. Akademia widzi, jak Wasza Wysokość ocenia jej zasługi i pełna jest pragnienia służenia Waszej Wysokości. Ja, ze swej strony, pragnę, by Wasza Wysokość pomagać raczyła artystom i starać się będę wpływać na rozwój sztuki”.

. . . . .

Była to ostatnia obraza, ostatnie naigrawanie się życia nad wielkim artystą. Szczęściem—nie czuł już tego, a drobne, brzydkie, skamieniałe oblicze jego zachowało w grobie wyraz spokojnej wzgardy.

## NAUKA MIŁOŚCI.

Messire Fąbricio, jeden z najuczeńszych profesorów uniwersytetu w Bolonii, wykładał dyalektykę, której był do tego stopnia mistrzem, iż zwano go „królem sylogizmów”. Nie tylko jednak dyalektyka, lecz i cały krąg wiedzy ludzkiej, trivium i quadrivium—był dla messire Fabricia chlebem powszednim. Najważniejszym jednak było to, że uczony ten mąż nietylko w przedmiotach nauki, lecz i we wszystkich sprawach życiowych wykazywał niesłychaną mądrość. Studenci opowiadali sobie, iż gdy profesor pewnego razu miał położyć na liście adres: Padwa, Plac Winny, apteka pod księżycem—messire Fabricio w rozragnieniu napisał: nella citta Antenorea, in sul foro di Bacco, all'aromataria della Dea triforme — to znaczy: do miasta Antenory, na forum Bachusa, do aromatoryi bogini Trzechlicej. Tak dużo i tak pięknie mówił językiem Tulliusza, że w części zapominał macierzyńskiego, w czem jednak nie

poczuwał się do winy, bowiem uważał język ten za niegodny swego stanowiska, a będąc czasem w złym humorze, nie wahał się twierdzić, że Boska komedia Danta w obecnej epoce cyceronńskiego krasomówstwa, była zaledwie warta, by służyć za papier do obwijania kielbas w sklepie. Za to, gdy messire Fabricio wyjaśniał, jak właściwie winno się pisać słowo *consumptum*, z *p* czy bez *p* przed oczyma słuchaczy otwierała się cała otchłań mądrości i nawet najbardziej lekkomyślni i prości czuli przebiegający ich dreszcz pobożnego skupienia.

Messire Fabricio był mały, mizerny, słabowity, fizycznie wyczerpany ustawiczną umysłową pracą, twarz jednak miał surową i poważną, spojrzenie głębokie i myślące, brwi gęste i nachmurne, stąpał z powagą i wolno, nikt też z większą odeń uroczyością nie umiał nosić malinowej, profesorskiej peleryny, podbitej futrem zajęczem oraz olbrzymiego kapelusza, podobnego formą do owego pieroga z konfiturami, który pieką dla dzieci, w wilię świętego Jana.

W tym samym czasie studyowali prawo w Bolonii, jeden—kanoniczne, drugi—państwowe, dwaj młodzi ludzie z Rzymu, serdeczni przyjaciele, należący obaj do szlachetnej rodziny Savellich. Jednego zwano Bucciolo, drugiego—Piotrem Paolo. Ponieważ prawo kanoniczne nie jest tak obszerne jak prawo państwowe, więc Bucciolo ukończył swe studia nieco wcześniej, niż Paolo.

Gdy zrobił licencyat, postanowił wrócić do domu i rzekł do towarzysza:

— Kochany Piotrze, ponleważ mam już licencyat, chcę zatem wracać do swych stron rodzinnych.

Piotr rzekł na to:

— Proszę cię, mój drogi, nie zostawiaj mnie tutaj samego. Przeczekaj zimę. Na wiosnę skończę i ja, i wtedy razem wyjedziemy. Tymczasem, by nie tracić czasu, wybierz sobie jakąś gałąź nauki i zajmij się nią.

Bucciolo zgodził się, obiecując czekać na przyjaciela; poszedł do profesora swego, messire Fabricia, mówiąc:

— Postanowiłem, drogi mistrzu, poczekać tu na swego przyjaciela, póki zaś on nie skończy swych studyów, proszę cię, zechciej mi wykładać którąś z interesujących gałęzi nauk.

— Bardzo dobrze—rzekł profesor—wybierz, jaką będziesz chciał, chętnie zajmę się tobą.

Wówczas rzekł Bucciolo:

— Mistrzu, jeśli zgodziłbyś się, chciałbym, byś mi objaśniał naukę miłości.

Maestro Fabricio, usłyszawszy to, ściągnął gniewnie brwi, mając zamiar dobrze natrzeć głowę zuchwałemu chłopakowi, ośmielającemu się podżartowywać z profesora, gdy jednak spojrzał na Bucciola, zobaczył na różowem, dziecięcym jego obliczu, wyraz takiej prostoduszności i dobroci, uśmiech tak skromny, pełen szacunku, iż jakieś łacińskie, przygotowane już przekleństwo, zamarło na ustach profesorskich. Wspomniał jednocześnie coś dziwnie miłego, coś odległego i radosnego, coś nie mającego nic wspólnego z sylogi-



zmami, ni gramatyką Prisciana i Donata, uśmiechnął się i odrzekł:

— Bardzo dobrze, nie mogłeś wybrać lepiej. Zatem udaj się w najbliższą niedzielę do kościoła minorytów rankiem, gdy zbierają się tam kobiety z całego miasta i popatrz, czy nie znajdziesz tam takiej, któraby ci się podobała. Jeśli znajdziesz, śledź ją zdaleka, by się dowiedzieć gdzie mieszka, potem wróć do mnie. Otóż i pierwsza lekcya, wypełń ją dokładnie.

Bucciolo zrobił tak, jak go pouczył mistrz. Poszedł do kościoła, jął uważnie wpatrywać się w twarze licznie zebranych tam kobiet. Najwięcej spodobała mu się jedna niewiasta, mająca w sobie wiele sprytu i subtelnego uroku. Gdy wyszła z kościoła, poszedł za nią, zauważył dom, w którym mieszkała, z czego dama wywnioskowała, że student młody chce jej asystować.

Wrócił do mistrza i rzekł mu:

— Wykonałem pierwszą lekcję, znalazłem damę, która mi się podoba.

Mistrzowi wydało się to wszystko nadzwyczaj zabawnem, w głębi duszy śmiał się, coprawda, z prostoduszności Bucciola i z nauki, której ten pragnął się uczyć.

Z wyrazem jednak poważnym i zamyślonym rzekł:

— Winienesz teraz jakieś dwa lub trzy razy w ciągu dnia przejść się pod jej oknami, naturalnie, zachowując się skromnie i przyzwoicie. Patrz na nią ukradkiem, by tego nikt nie zauważył, a tylko ona jedna mogła zrozumieć, żeś w niej

zakochany. Potem wróć do mnie. To twa druga lekcya.

Bucciolo pożegnał profesora, poszedł na ulicę, przy której mieszkała jego ukochana, jął się przechadzać przed jej domem, zachowując osrożność, lecz jednocześnie sprawując się tak, by dama jego serca mogła zauważyć, że czyni to dla niej. Wreszcie spostrzegła go, Bucciolo skłonił się parokrotnie z wyszukaną uprzejmością, odpowiedziała mu ukłonem, z czego wywnioskował, że jest mu przychylna. Poszedł też zaraz, by zawiadomić swego mistrza; ten, wysłuchawszy go, rzekł mu:

— Doskonale. Jestem z ciebie zadowolony. Dotąd idzie wszystko jak po maśle. Teraz winieś posłać do niej jedną z tych przekupek, które handlują w Bolonii koronkami, wstążkami, woreczkami i tym podobnymi przedmiotami mody. Rozkaż jej, by od ciebie zawiadomiła twą damę, żeś gotów spełnić wszystko, co ona zechce, gotów jej służyć, że nie kochasz nikogo tak, jak ją i że od-tąd chcesz być jej wiernym niewolnikiem. Poczekaj na odpowiedź, a następnie wróć do mnie, nauczę cię, jak masz postąpić dalej.

Bucciolo, nie tracąc czasu, poszedł, odszukał starą, usłużną, a doświadczoną w tych sprawach kobietę i powiedział do niej:

— Możesz mi wyświadczyć wielką przysługę, zapłacę, ile zechcesz.

Przekupka odrzekła:

— Zrobię, co pan będziesz chciał, gdyż, jako kobieta uczciwa, żyję z pracy rąk swych.

Bucciolo dał jej dwa floreny, mówiąc:

— Proszę, idź na ulicę Mascarella, mieszka tam młoda kobieta, imieniem Giovanna, ja ją Kocham. Powiedz jej to ode mnie, a także, że mam jej oddany jak niewolnik i gotów uczynić wszystko na jej skinienie. Naturalnie, trzeba to wyrazić w słowach najbardziej delikatnych i gorących.

Stara odrzekła:

— Wiem, wiem. Z pomocą Boga i Najświętszej Maryi Panny tak sprawę tę pokieruję, że pan będziesz rad i nieraz jeszcze udasz się do mnie. Najgłówniejsze, by wybrać czas odpowiedni; już pozwólcie mi panie tem się zająć.

— Idź, — rzekł Bucciolo, — ja tutaj poczekam.

Przekupka z koszykiem towarów swych udała się na ulicę Mascarella, zobaczyła siedzącą przed domem Giovannę, pokłoniła jej się, mówiąc:

— Madonno, czy nie spodobałoby ci się coś z mych towarów. Bierz śmiało, co zechcesz.

Stara przysiadła bliżej, jęła pokazywać wstęgi, paski, muśliny, noże, woreczki, zwierciadelka i tym podobne przedmioty. Giovanna przyglądała się długo wszystkiemu, spodobał się jej jeden woreczek na pieniądze i rzekła:

— Gdybym miała pieniądze, kupiłabym to chętnie.

Stara rzekła:

— Madonno, czyż warto mówić o podobnych drobnostkach. Mówię ci, bierz wszystko z mego towaru, co tylko ci się podoba. Mnie już za to zapłacili.

Dama była zdziwiona i chcąc jakoś zrozumieć uprzejmość starej, spytała:

— Co chcesz przez to powiedzieć, dobra kobieto? Co znaczą te słowa?

Wówczas przekupka ją opowiadać półgłosem:

— Zaraz ci wytłómaczę, o madonno. Pewien młodzieniec, imieniem Bucciolo, przysłał mnie do ciebie. Kocha cię i oddany ci jest całą duszą. Mówi, iż niema na świecie nic tak trudnego, czego-by dla ciebie nie wykonał z radością, iż może tem zasłużyć na twą miłość. Bóg największą radość sprawiłby mi, — mówi — gdyby ona zechciała cośkolwiek mi rozkazać. Sam wzdycha i łza-mi się zalewa i niknie w oczach z miłości dla ciebie, madonno. Niechaj w ostatniej mej godzinie Bóg nie wysłucha mej modlitwy, niech grom we mnie uderzy, jeżeli ci coś skłamała, jeśli w życiu mem widziałam piękniejszego i szlachetniejszego młodziana.

Posłyszawszy te słowa, Giovanna zapłonila się.

— Jeśli nie powstrzymałaby mię wrodzona skromność, odpowiedziałabym ci, stara wiedźmo, w słowach, na jakie zasługujesz. Jak śmiesz zjawiać się z podobnemi propozycjami do uczciwej kobiety, Bóg cię skarże!

Mówiąc te słowa, wyjęła z drzwi drewnianą zastawę, z zamiarem uderzenia starej.

Przekupka śpiesznie zabrała swój towar, ucho-dząc co żywo i uczuła się bezpieczną dopiero w pobliżu Bucciola.

— Jakże tam? — zapytał widząc ją.

— A cóż, źle, gorzej być nie może. Nigdy, przez całe życie wstydu takiego nie najadłam się. Gdyby nie to, że uciekłam w porę, stare me kości zapoznałyby się z kijem. Nie wiem, jak pan, messire Bucciola, lecz ja sama za żadne skarby więcej tam nie pójde i panu iść odradzam.

Bucciolo zasmucił się, zaraz też poszedł do swego nauczyciela i opowiedział mu, co się stało.

Messire Fabricio pocieszał go, mówiąc:

— Uspokój się. Żadne drzewo nie wali się odrazu. Przejdź się raz jeszcze pod jej oknami, zobaczymy, jaką też twarz uczyni. Przychodź potem do mnie.

Buccioli posłuchał rady, poszedł pod dom ukochanej. Gdy go zobaczyła, zawezwała służącą, nakazując jej:

— Uliwa, spójrz na tego młodzieńca, idź i powiedz mu, żeby koniecznie przyszedł do mnie dziś wieczorem.

Uliwa, podszedłszy do Bucciola rzekła:

— Messire, madonna Giovanna prosi cię, byś zaszedł do niej dziś wieczorem, gdyż chce z tobą pomówić.

Bucciolo nie wiedział, co ma o tem myśleć. Niemniej odrzekł:

— Dobrze, powiedz swej pani, że przyjdę z całą radością.

Powrócił do Fabricia. Stary profesor zdziwił się i zapytał:

— Przy jakiej ulicy mieszka twa dama?

— Przy ulicy Mascarella.



— Jak się zwie służąca?

— Nie wiem. Jest wysoka, chuda, czarna, utyka na jedną nogę.

— Na Herkulesa! To Uliwa!—wyszeptał profesor, czerwieniąc się, jak rak.

— Co chciałeś powiedzieć, mistrzu?—zapytał Bucciolo.

Profesorowi wydało się, że ziemia z pod nóg mu się usuwa, a twarz Bucciola się dwoi. Nie czując dość sił, by znieść cios ostatni i bojąc się, by Bucciolo nie nazwał mu madonny Giovanny, będącej, ni mniej ni więcej — własną jego żoną, nie śmiał zapytać o imię damy. W ciągu miesięcy zimowych profesor nocował w gmachu uniwersytetu, by mieć możność wykładów wieczornych, wskutek czego madonna Giovanna pozostawała w domu sama jedna ze służącą.

— Czy idziesz na spotkanie, Buccioli?

— Naturalnie.

— Proszę, zajdź do mnie i powiedz mi, gdy będziesz szedł.

Buccioli rzekł: „Dobrze” — i oddalił się. Mistrz uspokoił się, widząc, że Buccioli nie domyślił się niczego.

— Nie chciałbym, co prawda, — powiedział do siebie messire Fabricio,—by uczył się on na mój rachunek.

Wieczorem Buccioli przyszedł.

— Mistrzu, czas już na mnie.

— Idź, i bądź ostrożny.

— O, możesz na mnie polegać.

Pierś okrył grubym pancerzem, u boku scho-

wał długi kindżał i miecz ostry — jednym słowem przedsięwziął wszystkie ostrożności. Messire Bucciola, gdy wyszedł, poszedł nie zauważony w ślad za nim. Bucciola podszedł do drzwi damy swego serca — zaledwie zastukał, otwarła, wpuszczając go. Profesor, przekonawszy się własnymi oczyma, iż ukochana Bucciolego jest własną jego żoną — wpadł w nieopisaną złość.

— Klnę się na Minerwę, teraz nie mam żadnej wątpliwości, iż uczy się on na mój rachunek.

Messire Fabricio pobiegł z powrotem do gmachu uniwersytetu, wziął miecz, kindżał i powrócił na ulicę Mascarella, spodziewając się schwycić na gorącym uczynku Bucciolego. Podszedłszy do drzwi mieszkania, jął stukać. Madonna Giovanna, siedząca w tym czasie z ukochanym przy kominie, usłyszawszy stukanie, domyśliła się, że nadchodzi mąż. Wzięła Bucciola za rękę, poprowadziła do sąsiedniego pokoju, chowając go pod stołem mokrej bielizny, leżącej na stole przy oknie. Pobiegła następnie podedrzwi, pytając: „kto tam?”

Mistrz krzyczał:

— Otwieraj, otwieraj, niegodziwa!

Giovanna otwarła, a ujrawszy profesora tak uzbrojonego, krzyknęła:

— Ach, cóż to znaczy, messire Fabricio?

Lecz on nie uspokoił się, krzyczał wciąż głośniej:

— Klnę się na Apollona, iż wiem, kto jest w mym domu.

— O ja nieszczęśliwa, — zawołała Giovanna, — co ty mówisz? Czyś przy zdrowych zmy-

slach? Obszukaj dom cały, a jeśli znajdziesz w nim kogokolwiek — niechaj mię poćwiartują w kawałki. Co za wstyd, co za wstyd! Boże mój, Boże! Czy warto być wierną żoną? Zapytaj sąsiadów, mogą ci powiedzieć o mej uczciwości i bogobojności. Tak jeszcze niedawno przychodziła tutaj jedna stara. Ale po co mówić ci to? Jeśli cię zły opętał, krzyżem św. odgródź się odeń, zmów modlitwę od złego ducha, który widać chce zguby twej duszy.

Mistrz rozkazał zapalić świecę, zaczął szukać w piwnicy, między beczkami, potem w pokojach, wszędzie myszkował, szukał pod łóżkiem, przekłół mieczem materac słomiany w kilku miejscach, jednym słowem, nie było w domu mysiej jamy, gdzieby nie zajrzał, Bucciola jednak nie odnalazł. Madonna Giovanna chodziła za nim ze świecą, powtarzając:

— Drogi mistrzu, opamiętaj się, przeżegnaj, teraz już dla mnie widoczne, iż nieprzyjaciel boży kusi cię, budząc w duszy twej przywidzenia, których wstyd jest wypowiedzieć, wiedz, iż gdyby włos jeden na głowie mej zapragnął czegoś podobnego — to wówczas już odebrałabym sobie życie. Mistrzu, zaklinam cię na imię Boga, nie poddawaj się pokusom szatana.

Nie znalazłszy Bucciola, słysząc te niemiłkące zaklęcia małżonki swej, mistrz w końcu prawie jej uwierzył, zgasił światło i udał się do szkoły.

Zaś madonna Giovanna zamknęła zaraz drzwi na zasuwę, wyciągnęła ukochanego z pod

bielizny, rozpałiła wesoly ogień na kominie, upiekła na nim prosię młode, a z piwnicy przyniosła win przeróżnych. Pili i jedli, i cieszyli się sobą, i na wzajemnych pieśzcotach spędzili noc. Gdy zaś nadszedł ranek, Buccioło rzekł:

— Madonno, muszę cię pożegnać. Może raczysz mi co rozkazać?

— O tak, — odrzekła, obejmując go i całując z pieśzcotą — raczę ci rozkazać, byś przyszedł do mnie dziś wieczorem.

Buccioło przyrzekł, powrócił do szkoły i rzekł do swego nauczyciela:

— Chcę opowiedzieć ci coś zabawnego, mistrzu.

— Mów zatem. Słucham.

— Wczoraj wieczorem, — ciągnął Buccioło — gdy byłem w domu mej ukochanej, nadchodzi nagle mąż, obszukuje cały dom i nic nie znajduje. Ona bowiem ukryła mnie zręcznie pod sto-sem mokrej bielizny i tak umiała go obejść, że głupiec uwierzył i odszedł. A gdy pozostaliśmy sami, powieczierzaliśmy, zjadłszy młodziutkie prosię, pijąc delikatne wina i mogę zapewnić cię, mistrzu, że było nam wesoło i że ta nauka miłości wydaje mi się dziś najmiłszą i najzabawniejszą z nauk; według mnie, żadnej innej porównać z nią nie można. Prostu nie wiem już, jak ci za nią mam dziękować, mistrzu mój drogi. Teraz zaś, jeśli pozwolisz, pójdę wypocząć, gdyż niewiele spałem tej nocy, a dziś wieczorem przyrzekłem znowuż iść do niej.

Mistrz Fabricio odrzekł:

— Gdy będziesz miał iść, przyjdź i powiedz mi.

— Z chęcią — odrzekł Bucciolo i poszedł spać.

Profesor tracił przytomność z irytacji. Zaczął wykład, lecz miast sylogizmów, mówił takie głupstwa, iż w końcu opuścił katedrę, mówiąc, że jest chory. Serce pożerała mu zazdrość, dzień cały myślał o tem, jak przyłapie Bucciola i srodze go ukarze. Zaopatrzył się u starego lanc-knechta, mającego sklep z bronią w sąsiedniej uliczce, w zardzewiały pancerz i odwieczny jakiś hełm. Gdy nastął wieczór, przyszedł doń Bucciolo, mówiąc swobodnie:

— Już idę.

— Idź, idź, lecz nie zapomnij zejść do mnie jutro zrana, by mi opowiedzieć, co się stało.

— Bądź spokojny, mistrzu, przyjdę,—odrzekł Bucciolo i udał się do swej damy.

Zaś mistrz chwycił pancerz i hełm i szedł wślada za nim, spodziewając się przyłapać go przy drzwiach domu.

Giovanna jednak, oczekując ukochanego, śpiesznie mu otworzyła, wpuściła, i drzwi zamknęła. Nadeszły mistrz jął hałasować i dobijać się. Giovanna zdmuchnęła świecę, zasłoniła sobą ukochanego, otworzyła drzwi, jedną ręką objęła męża, ściskając go, drugą wypchnęła zlekka Bucciola, czyniąc to tak zręcznie, że mistrz nic nie dostrzegł. Zaczęła przytem wołać:

— Na pomoc, na pomoc, mistrz zwa-ryował!!



Silnie go trzymała, nie wypuszczając ze swych objęć. Bucciolo wyszedł, nie poznawszy Fabricia, którego twarz ukryta była pod przyłbicą. Zbiegli się sąsiedzi na te krzyki, widząc zaś profesora, przyodzianego tak niezwykle w pan-cerz i hełm, słysząc okrzyki żony: „Trzymajcie go, widocznie zwaryował od zbytniego umysłowego wysiłku” — z łatwością uwierzyli, iż messire Fabricio jest zupełnie przy zdrowych zmysłach. Ze współczuciem przystąpili doń.

— Ach, maestro, maestro, co z panem się stało? Kładź się prędkiej do łóżka, odpocznij, a w przyszłości nie przeciążaj pan zbytnio umysłu. Choć jesteśmy ludzie prości, nie uczeni, lecz radzimy ci z serca, byś się uspokoił.

— Jakże ja mogę się uspokoić, kiedy widziałem na własne oczy, jak ta niegodziwa wpuściła do domu kochanka.

— Kochanka! — krzyknęła Giovanna — o, ja nieszczęśliwa! Spytajże się dobrych ludzi, sąsiadów naszych, czym w czemkolwiek zawiniła wobec ciebie.

Zebrani, tak kobiety, jak i mężczyźni, odrzekli jednym głosem:

— Mistrzu, wybij to sobie z głowy, niema i nie będzie na świecie cnotliwszej i skromniejszej kobiety. O tem wiemy wszyscy z całą pewnością.

— Nic nie wiecie, mówię wam, iż własnymi oczyma widziałem kochanka, wiem z pewnością, że jest on w mym domu.

Nadeszli właśnie dwaj bracia Giovanny. Zo-

baczywszy ich, Giovanna rozplakala się, mówiąc:

— Drodzy bracia, mąż mój zwaryował i chce mnie zabić. Mówi, że wpuściłam do domu kochanka, — wszak wiecie, że nie z tych kobiet i nie tak wychowana, by móżdż spokojnie cierpieć podobne zniewagi.

Bracia rzekli:

— Dziwi nas, jak śmiesz, mistrzu, nazywać siostrę naszą niegodziwą kobietą. Ileż to już lat żyłeś z nią w zgodzie. Cóż dziś się mogło stać takiego, żeś się tak na nią rozgniewał?

— Widziałem jej kochanka,—twierdził mistrz Fabricio—widziałem go na własne oczy.

— Dobrze,—rzekli bracia—obszukamy dom, a jeśli znajdziemy go, ukarzymy ją tak, iż będziesz zadowolony.

Jeden z nich wziął siostrę na bok i zapytał:

— Powiedz prawdę, czy jest w tym domu mężczyzna?

— Co mówisz, — zawołała Giovanna — jak ci nie wstyd pytać mnie o to. Boże mnie uchwaj od podobnego wstydu. Zgodziłabym się prędzej umrzeć tysiącrotnie, niż uczynić, a nawet pomyśleć o czemś podobnem.

Słowa te całkowicie uspokoiły obu braci i wraz z mistrzem Fabriciem zabrali się do poszukiwań. Mistrz ujrzał stos bielizny, rzucił się nań wściekle i jął ciąć ją mieczem, myśląc, że schowany w niej jest Bucciolo.

— No widzicie,—załamała rączki Giovanna,—czyż nie mówiłam, że zwaryował? Czyż to nie

waryactwo, by psuć własne dobro, wszak nie uczyniło mu ono nic złego.

Bracia przeszukali dom, a, nikogo nie znalazłszy, istotnie przyszli do smutnego przekonania, że mistrz zwaryował. Jeden z nich wyrzekł ze stanowczością:

— Tak, on zwaryował.

Drugi dodał:

— Musisz się zgodzić, mistrzu, żeś niesprawiedliwie nazwał naszą siostrę niegodną kobietą.

Na te słowa istna wściekłość ogarnęła profesora. Nie mogąc wątpić o tem, co widział własnymi oczyma, jął obsypywać obu braci wymysłami, wymachując przytem trzymanym w ręku mieczem. Wówczas rzucili się nań, obezwładnili, związali mu ręce i nogi i pozostawili tak do rana. Rano wezwali lekarza. Ten przepisał miksturę, nakazał na głowę kompresy z lodu, puścił mu krew, radząc, by nikt z chorym nie rozmawiał, nie odpowiadał mu na pytania, a także, by trzymano go na dyecie, póki nie będzie mu lepiej. Wszystko to spełniono co do joty.

Po Bolonii rozeszła się smutna wiadomość, że messire Fabricio, znakomity doktor dyalektyki, „król sylogizmów”—zwaryował. Wszyscy mu współczuli. Studenci mówili między sobą:

— Już wczoraj można było zauważyć, że maestro nie był normalny. Pamiętajcie, że nie mógł skończyć wykładu i dziwny miał wyraz twarzy?

Niektórzy cieszyli się w duszy:

— Oto—mówili—do czego doprowadza zbyt-  
nia uczoność. Jeszcze zły się wmiesza.

Studenci postanowili odwiedzić chorego profesora.

Bucciolo, nie wiedząc o niczem, przyszedł zrana do uniwersytetu, by opowiedzieć mistrzowi zdarzenia nocy ubiegłej. Tutaj powiedziano mu, że mistrz zwaryował. Bucciolo zmartwił się szczerze i wraz z innymi poszedł odwiedzić chorego. Gdy zobaczył, gdzie go wiodą, nie było granic zdumieniu jego i przestrachowi; zrozumiał wówczas wszystko i ledwie sam nie oszalał. W obawie, by nie zauważono jego zmieszania, wszedł do domu profesora, zobaczył mistrza Fabricia na łóżku związanego, bladego, obłożonego kompresami. Studenci jęli kolejno podchodzić do profesora, wyrażając mu swe współczucie. Gdy nadeszła kolej na Bucciola, zbliżył się i rzekł do mistrza:

— Drogi nauczycielu, kocham cię i czczę, jak ojca, jeśli zatem mogę ci coś pomódz, rozkaż, jak synowi.

Mistrz, widząc jego żal serdeczny, odrzekł z całą łagodnością:

— Bucciolo, Bucciolo, odejdz z Bogiem. Dość nauczyłeś się na mój rachunek, choć, prawdę rzekłszy i mnie wiele nauczyłeś.

Obecna temu madonna Giovanna śpiesznie przerwała:

— Nie zwracajcie na jego słowa uwagi—on bredzi.

Bucciolo odszedł czempzędzej. Odszukał Piotra Paola i rzekł doń:

— Bracie, bywaj zdrów. Tyle temi czasy nauczyłem się, iż odeszła mnie ochota dalszej nauki.

Z temi słowy pożegnał przyjaciela, zebrał się w drogę i szczęśliwie wkrótce potem przybył do Rzymu.

---



MIŁOŚĆ SILNIEJSZA   ♡   ♡

♡   ♡   ♡   NIZLI ŚMIERĆ.

Obywatele Florencyi ze starożytnego rodu Almieri od niepamiętnych czasów należeli do dwóch szlachejnych cechów: jedni czcili św. Antoniego, patrona rzeźników, drudzy trudnili się wełnianym przemysłem i za swój znak cechowy mieli wyobrażenie owcy. Do tych cechów należeli, podobnie jak ich przodkowie, dwaj bracia — Giovanni i Matteo Almieri.

Matteo miał wełnobójnie, idące wdół Arno, zaś Giovanni na Starym Rynku t. j. na Mercato Vecchio handlował mięsem. Klienci zachodzili chętnie do rzeźni Giovanniego nie tylko, iż można tam było dostać świeże szynki, delikatną, młodą cielęcinę i tłuste gęsi, lecz i dlatego, że lubili gospodarza za jego wesołość i cięty, ostry język. Nikt tak, jak on, nie potrafił odplacić żartem za żart, nikt z taką swobodą nie mówił o wszystkich

sprawach podksiężycowego świata — o dyplomatycznych błędach florentyjskiej republiki, zamysłach tureckiego sultana, intrygach króla francuskiego lub niespodzianej, niczem zdawałoby się nieusprawiedliwionej przyczynie cięży sąsiadki wdowy, gustującej ostatnimi czasy w odwiedzaniu klasztoru dostojnych braci Kartuzów. Przy tem nikt prawie nie obrażał się za żarty rzeźnika, który na swe usprawiedliwienie przywodził stare przysłowie:

„Żart sąsiada nie zgorszy,  
a język—niby brzytwę—wyostrzy”.

Zupełnie innym był brat Matteo, wybijacz wełny. Grzeczny dla wszystkich, lecz pochmurny i milczący, interesy swe prowadził lepiej, niż dobroduszny i niedbały Giovanni. Rokrocznie dwa statki Mattea, naładowane wełną, odpływały z zatoki Livorno do Konstantynopola. Miał on ambitne i szerokie projekty. Na swój handel patrzył raczej jak na środek, wiodący do wyższych, obywatelskich dostojenstw, piął się dó arystokracji, do „popolo grasso”, jak ich zwano we Florencyi i żywił nadzieję wyniesienia rodu Almierich, a może przekazania go nieśmiertelności.

Często Matteo namawiał brata, by ten rzucił swą rzeźnię, jako zajęcie niegodne ich rodu, a kapitały swe przyłączył do handlowych obrotów Mattea. Lecz Giovanni nie godził się na to; choć cenił rozum brata, lecz w głębi duszy bał się go. I choć głośno nie mówił, lecz myślał w duszy: „miętko sobie pościelesz, a twardo się wyśpisz”.

Razu pewnego w dzień gorący i duszny, Giovanni, powróciwszy po sutej i tłustej kolacyi, poczuł się niezdrów. Legł na posłanie, dostał ataku tem niebezpieczniejszego, iż rzeźnik był tęgi, a szyć miał grubą. Tejże samej nocy oddał ducha Bogu, nie zdążywszy nawet przyjąć sakramentów, ni spisać ostatniej woli. Pozostała wdowa, monna Urszula, kobiet cicha i dobroduszna, powierzyła swe handlowe sprawy mężowemu bratu, który potrafił ją podejść układnemi słowy. Zdołał on przekonać prostoduszną kobietę, iż zmarły, z powodu swej lekomyślności, pozostawił księgi rachunkowe w nieładzie, zmarł w przededniu bankructwa — wskutek czego, jeśli pragnie ocalić resztki majątku, winna zamknąć sklep na Mercato Vecchio i zlikwidować cały interes.

Złe języki twierdziły coprawda jakoby cichy i dobroduszny Matteo nielitościwie podszedł wdowę, by według zdawna tajonego pragnienia pieniądze zmarłego brata obrócić na rozszerzenie wełnobójni. Trudno wiedzieć jak tam było, dość, że interesy Mattea od tej pory poszły w górę i odtąd już nie dwa, lecz pięć, nawet sześć statków odpływało rokrocznie z Livorno do Konstantynopola.

Po kilku latach dobił się też swego, przyobiecano mu honorowe miejsce chorągiewnego cechu lnianego słynnego florentyńskiego — *Arte di Lana*. Wdowie po bracie wyznaczył niewielką pensję miesięczną i biedna monna Urszula żyła prawie w niedostatku, odmawiając sobie wszystkiego, tem więcej, że po mężu pozostała jej córka,

młodziutka Ginewra. Dodajmy tu, że we Florencyi wówczas, równie jak dziś u nas, trudno było o nieżów, któryby nie oglądali się na posag. Szlachetna monna Urszula nie upadała jednak na duchu, gorąco się modląc do różnych świętych, a w szczególności do św. Antoniego, patrona i serdecznego orędownika rzeźników. Miała też nadzieję, że ten obrońca wdów i sierot ześle córce jej szlachetnego i dobrego męża, a miała tem większe dane liczyć na to, iż Ginewra odznaczała się niezwykłą urodą.

Trudno było wprost uwierzyć, że ten niezdarly gruby Giovanni mógł mieć córkę tak czarującą.

Ginewra ubierała się w proste, ciemne tkaniny, lecz w wycięciu szyi widniała zawsze drobnymi fałdkami cienka koszula „reńskiego” płótna, a wokoło precudnej szyi, długiej i szczupłej jak u wszystkich Florentynek, wila się nitka pereł, przy których wisiała starożytna kamea z chryzolitu, wyobrażająca centuara. Jasne, bladozłociste włosy kryła spadająca do półczoła tkanina, tak przezroczysta iż można było po przez nią rozróżnić piękne uczesanie w mnóstwo drobnych, staranie i gęsto zaplecionych warkoczyków, układających się półkolem, wzorzysto, na podobieństwo liści winnych lub paproci. Blade, pełne spokoju oblicze Ginevry, było podobne do twarzy Madonny z obrazu Fra Filippo Lippi, namalowanego dla florenckiej Badyi. Był to wizerunek niepokalanej dziewicy, zjawiającej się św. Bernardowi i przewracającej mu karty

księgi swymi delikatnymi, przejrzystymi niby wosk świec kościelnych palcami.

W dziecinnych ustach, w spokojnem, smutnem spojrzeniu, w wysoko podniesionych, pięknie zarysowanych brwiach Ginewry, był wyraz niewinności — daleki od zła. Wiało od niej świeżym chłodem wczesnego ranka i jasnością lilii klasztornej, cała zaś zdawała się kruchą, zbyt wątłą, nie stworzoną, zda się, do życia.

Gdy córka rzeźnika Almieri szła ulicami Florencyi, zdążając do kościoła—skromna, cicha, z oczyma spuszczoneymi, z modlitewnikiem w ręku—wesola młodź, śpiesząca na ucztę lub łowy, zatrzymywała konie, twarze młodzieńców poważniały, żarty i śmiechy milkły i długo spojrzeniem pełnem szacunku odprowadzali oni piękną Ginewrę.

Stryj Matteo, słysząc pochwały o urodzie bratanicy, postanowił wydać ją za mąż. Wybór jego padł na człowieka nie pierwszej już młodości, szanowanego powszechnie, spokrewnionego z ówczesnymi zarządcami miasta Albizzi, sekretarza florenckiej republiki — signora Francesco degli Agolanti. Był to wielki znawca łaciny, sprawy kancelaryjne prowadzący pięknym językiem Tita Liviusza i Sallustrjusza. Odludek, surowych obyczajów, lecz nieskazitelnie uczciwy—przypominał starożytnych Rzymian tak przymiotami, jako też zewnętrznym wyglądem. Z twarzy podobny był do senatora rzymskiego z czasów republiki. Ubierał się w długą, faldzistą szatę florenckich urzędników, koloru czerwonego i krojem przypominającą



rzymską togę. Był do tego stopnia miłośnikiem starożytnych języków, że gdy w Toskanii nastąpiła moda greczyzny i w miejscowym „studio” uczony bizantyjski, przybyły z Konstantynopola Emanuel Chrizoloras jął wykładać gramatykę—messer Agolanti—mimo swój wiek poważny i stanowisko sekretarza florenckiej republiki, nie wstydził się zasiąść w rzędzie uczącej się młodzieży. Zaczawszy od abecadła doszedł wkrótce do takiej biegłości, iż mógł w oryginale czytać *Organon* Arystotelesa i dialogi Platona.

Chytry wełnobój, pełen ambitnych zamiarów—nie mógł sobie wymarzyć wygodniejszej i lepszej paranteli. Matteo przyobiecał za siostrzenicą znaczny posag, z tym warunkiem, by messer Agolanti złączył swe imię i herb z imieniem i herbem Almieri.

Jednak jakby naprzekór tym licznym jawnym i ukrytym zaletom swego narzeczonego, Ginewra długi czas opierała się zamiarom wuja i z tej przyczyny z roku na rok ślub odkładano. Gdy zaś Matteo zażądał szybkiej i stanowczej odpowiedzi — dziewczę objaśniło, iż ma innego konkurenta, bardziej przez się lubianego i ku niemałemu zdziwieniu i przestrachowi matki powiedziała nazwisko messera Antonia de Rondineli. Był to młody i dość biedny rzeźbiarz, mający swą „bottegę”, czyli pracownię z nielicznymi uczniami, w jednym z ciasnych zaułków niedaleko Ponte Vecchio. Antonio poznał się z Ginewrą w domu jej matki: parę miesięcy temu poprosił, by mu pozwolono ulepić z wosku głowę młodej

dziewicy, pragnąc skorzystać z piękności Ginevry, słynnej wśród artystów florenckich, i zrobić z niej posąg św. męczennicy Barbary, zamówiony dla bogatego klasztoru w okolicy. Monna Urszula nie mogła wobec tego świętobliwego celu odmówić rzeźbiarzowi i właśnie podczas trwania tej pracy artysta pokochał swój piękny wzór — jak niegdyś Pigmalion Galateę. Spotykali się następnie na uroczystościach i zabawach miejskich i zimowych, zebraniach, na które gospodarze radzi zapraszali Ginewrę, będącą zawsze ozdobą wieczoru.

Kiedy monna Urszula, nieśmiało i łagodnie tłumacząc się, próbowała stryja Matteo zawiadomić, iż Ginewra ma innego konkurenta, bardziej miłego jej sercu i wyrzekła imię Antonia de Rondinelli wełnobój, choć w duszy silnie rozgniewany, udał jednak spokój i, przyjmując łagodny wyraz i zwracając się do monny Urszuli, odezwał się cichym głosem:

— Madonno, gdybym na własne uszy nie słyszał tego, coś łaskawa mi była powiedzieć, nie wierzyłbym nigdy, by tak dobra i rozumna kobieta zwracała uwagę na lekkomyślną zachciankę niedoświadczonego dziecka. Nie wiem, jak jest teraz, lecz w moich czasach młode dziewczęta nie śmiały zająknąć się, gdy chodziło o wybór męża, we wszystkim zdając się na wolę ojca lub opiekuna. Pomyśl tylko kim jest istotnie ten messer Antonio, którego moja siostrzenica zaszczyliła swym wyborem? Czyż niewiadomo ci, że rzeźbiarzami, malarzami, poetami, aktorami

i ulicznymi śpiewakami zostają ludzie, którym nic innego nie pozostaje i którzy nie umieją wziąć się do żadnego, bardziej poszanowania godnego przemysłu? Są to ludzie najbardziej z całego świata lekkomyślni i nie dający pokładać w sobie żadnych nadziei—wszystko to pijacy, rozpustnicy, próżniacy, bezbożni, sprośni, utracjusze własnego i cudzego majątku. Co się tyczy messera Antonia zapewne słyszałaś o nim to, co mówi cała Florencya i co mnie równie, jak innym wiadomo; przypomnę więc tu tylko jeden zwyczaj tego młodzieńca: okrągły koszyk, wiszący w pracowni na sznurku, założonym na blok, gdy drugi jego koniec przyczepiony do gwoźdźcia żelaznego, wbitego w ścianę. W koszyk ten Antonio rzuca wszystkie zapracowane pieniądze, nie licząc ich. I każdy, kto zapragnie—bądź uczeń, bądź znajomy może przyjąć opuścić koszyk z bloku i, nie pytając o to gospodarza, wziąć tyle, wiele mu potrzeba miedzianych, srebrnych lub złotych monet. Czyż myślisz madonno, że ja pieniądze, obiecane w posagu córce twej, powierzę takiemu szaleńcowi? To jednak nie wszystko. Nie wiem, czy ci wiadomo, madonno, iż messer Antonio wyznaje w duszy dyabelskiego nasienia filozofię epikurejczyków, nie chodzi do kościoła, wyśmiewa święte sakramenta i nie wierzy w Boga? Dobrzy ludzie opowiadają, iż czci marmurowe odłamki wstrętnych bóstw pogańskich, gorszących bogów i bogiń, które poczęto wykopywać z ziemi, bardziej, niżli błogosławione szczątki i cudowne wizerunki świętych pańskich. Również słyszałem od ludzi, godnych wiary,

iż u siebie w pracowni wraz z uczniami swymi nocami ćwiartuje ludzkie trupy, kupione niedrogo u stróży szpitalnych w tym celu, jak twierdzi, by uczyć się ludzkiej anatomii t. j. budowy człowieka, nerwów i mięśni, by jakoby tym sposobem wydoskonalic się w swej sztuce; lecz, według mnie, to raczej dlatego, by dogodzić tem swemu pomocnikowi i doradcy szatanowi, wrogowi naszego zbawienia. Bo też, co prawda, jakimż innymi środkami, jeśli nie przy pomocy czarów, zaklęć i sztuczek czarcich, zawładnął ten heretyk sercem niewinnej twej córki?

Taką i podobną tej mową stryj Matteo nastraszył monnę Urszulę, przekonał i skłonił ku swym zamysłom. Gdy matka oznajmiła Ginewrie, że stryj na wypadek odmowy Francesce degli Agolanti zdecydowany cofnącim miesięczną pensyę, wskutek czego matce na starość zagraża nędza—dziewczę, pełne niewymownego bólu, poddało się losowi i zdecydowało spełnić wolę stryja.

W roku tym na Florencyę spadła wielka klęska, przepowiedziana zresztą przez wielu astrologów na tej podstawie, iż Saturn w gwiazdozbiornie niebieskim zbliżył się do Marsa. Kupcy przybyli ze Wschodu, przywieźli zarazek dżumy w swych cennych, indyjskich dywanach. Urządzono pochód uliczny ze śpiewami „miserere”, z cudownym obrazem Matki Boskiej, niesionym przez duchowieństwo przed arcybiskupem. Przedsięwzięto środki w celu higieny; zabroniono w obrębie miasta wyrzucać śmiecie, rzucać w Arno rozkładające się odpadki skórzanych fabryk i bydłóbójen oddzie-

lano chorych od zdrowych. Pod groźbą kary pie-  
 niężnej, więzienia, a w pewnych wypadkach nawet  
 kary śmierci—zabroniono trzymać w domu zmar-  
 łych; choćby nawet rodzina twierdziła, że śmierć  
 wynika z innych przyczyn, nie z dżumy, musiano  
 ich usuwać. Zmarłych w ciągu dnia wynosić  
 przed zachodem słońca, zmarłych w ciągu nocy—  
 przed wschodem słonecznym. Miasto obchodzili  
 specyjalni dozorczy, którzy mieli prawo bądź dniem,  
 bądź nocą zastukać do drzwi każdego, pytając,  
 czy niema chorych lub zmarłych i czyniąc w do-  
 mu rewizyę.

Wszędy ciągnęły straszne, dziegciem wyma-  
 zane wozy przy świetle pochodni, w otoczeniu  
 milczących, czarno ubranych postaci w maskach,  
 przesyconych dziegciem. W rękę trzymali oni  
 długie haki, którymi zdala, by się nie zarazić —  
 zaczepiali trupy zadżumionych, podnosili i zrzucali  
 na wozy. Mówiono, iż nierzadko zdarzało się, iż ci  
 ludzie, których lud ochrzcił mianem „czarnych  
 dyabłów” zabierali nietylko martwych, lecz i umiera-  
 jących, w tym celu, by nie być zmuszonym powra-  
 cać powtórnie w to samo miejsce. Zaraza, która  
 rozszerzyła się lotem, nie ustała jesienią i nawet  
 zimowe chłody, w roku tym bardzo wczesne —  
 nie przerwały jej. Wskutek tej klęski wielu ludzi,  
 których sprawy ważne nie wiązały z miastem,  
 śpiesznie opuszczało Florencyę, udając się do swych  
 pałaców podmiejskich, gdyż tam powietrze było  
 czystsze i zdrowsze.

Stryj Matteo, obawiając się mogących zajść  
 niespodzianek, niebardzo ufny posłuszeństwu sy-



nowicy — przyśpieszał obrzęd weselny pod pozorem, że monna Urszula musi z córką czempredziej wyjechać z miasta, a mr. Francesco degli Agolanti projektuje wywieźć Ginewrę wraz z matką, biorąc zaraz po ślubie urlop — by schronić się do podmiejskiej willi, położonej na wzgórzach Monte Albano.

Życzenie stryja postanowiono spełnić.

Ślub wyznaczono w ciągu dni kilku i spełniono obrządek ten cicho, bez wielkich występów, tak, jak należało ze względu na powszechną żalobę.

Podczas zaślubin Ginewra stała blada, jak płótno, twarz jej wyrażała straszny spokój. Stryj spodziewał się, że te dziewicze troski prysną jak ręką odjął po ślubie i mr. Francesco zdobędzie sobie miłość młodej małżonki.

Nie sądzonem jednak było ziścić się tym nadziejom.

Gdy młoda oblubienica przestąpiła progi męzowskiego domu, uczuła się niedobrze i upadła bez czucia. Początkowo myślano, że to tylko silne zemdlenie, poczęto ją cucić, lecz, niestety, oczy jej były wciąż zamknięte, oddech słabł, skóra na twarzy i całym ciele zbielała, jak płótno, członki wszystkie zastygły i gdy w kilka godzin następnie zawezwano lekarzy (na owe czasy niechętnie ich wzywano w obawie przed posądzeniem o zarazę) ci przyłożyli zwierciadło do ust Ginewry, a gdy nie dostrzegli na niem śladów oddechu — pełni niewymownego smutku i żalu doszli do przekonania, iż mają przed sobą nie zemdlenie, lecz śmierć

istotną. Sąsiedzi mówili, że jest to kara boska za obrzęd weselny, dokonany w takim czasie, dodawano, że młoda żona mr. Francesca zmarła zaraz po powrocie z kościoła, zarażona dżumą.

Wieści te miały możliwość szerzenia się tem bardziej, iż rodzina dziewczęcia, w obawie przed wizytą, „czarnych dyabłów” — ukrywała do ostatniej chwili omdlenie i śmierć Ginewry. Lecz wieczorem nadeszli rewizorzy, powiadomieni przez sąsiadów i zażądali, by rodzina wydała ciało, lub też natychmiast pochowała je. Zaledwie po długiej dyspacie, otrzymawszy łapówkę, zgodzili się, by ciało pozostało w domu mr. Francesca, lecz nie dłużej jak do wieczora dnia następnego.

Właściwie nikt nie miał wątpliwości co do śmierci Ginewry. Wyjątek stanowiła niania, lecz na jej zdanie nikt nie zwracał uwagi, uważając ją za stare bezrozumne stworzenie.

Niania błagała, by nie grzebano jeszcze zmarłej, bowiem jest w tem omyłka. Ginewra wprawdzie śpi, lecz żyje, wyraźnie ona, niania, słyszała słabe bicie jej serca gdy przykładła doń swą rękę: „Serce gołąbki wprawdzie słabo, nie silniej niżli trzepot skrzydeł nocnego motyla, bije, lecz bije ciągle”.

Przeszedł dzień, a gdy młoda dziewczyna nie dawała żadnych oznak życia — ubrano ją, położono do trumny i zaniesiono do katedralnego kościoła Sante Reparata. Krypta grobowa była sucha, obszerna, wyłożona cegłą tokańską, a znajdowała się w zagłębieniu między dwojgiem drzwi kościelnych na t. zw. podwórku cmentarnem (avel-

lo) pod cieniem wysokich cyprysów, między grobowcami najprzedniejszych rodzin Florencyi. Za ten grobowiec, według mniemania niektórych zbyt wspaniały dla córki rzeźnika, Matteo Almieri zapłacił był grube pieniądze, co prawda wzięte z posagu Ginevry.

Nabożeństwo odprawiono z całą wspaniałością. Nie żalowano świec woskowych, żebracy otrzymali po miarce kaszy jęczmiennej oraz oliwy za półsolda na głowę każdego.

Mimo zimna i obawy dżumy, na pogrzeb zebrał się tłum liczny, niektórzy, nawet zupełnie obcy, nie mogli powstrzymać się od łez, słysząc opowieść o śmierci panny młodej, inni powtarzali czuły wiersz Petrarcki:

„Morte bella pareo nel suo bel viso”\*)).

Mr. Francesco wypowiedział piękną mowę z cytataми nietylko łacińskimi, lecz i greckimi z Platona i Homera — było to wówczas nowością i podobało się wielu, nawet tym, którzy nie znali greckiego języka.

I dopiero pod koniec pogrzebu, gdy trumnę wyniesiono z katedry i postawiono w dalszej krypcie dla uskutecznienia ceremonii ostatniego pocałunku — powstało pewne zamieszanie.

Blady, w żalobnem ubraniu mężczyzna podszedł do zmarłej i, odsunąwszy zasłonę z jej twarzy, począł się wpatrywać w zmarłą.

Poproszono go, by się odsunął, zauważyw-

---

\*) Śmierć zdała się piękną na jej pięknem licu.

szy, iż póki nie pożegnają się z nią „bliscy” nie wypada, jemu „obcemu” podchodzić do nieboszczki”. Gdy blady nieznajomy posłyszał, że zowią go „obcym”, a „bliskimi” wuja Mattea i Mr. Francesco — uśmiechnął się gorzko, pocałował usta zmarłej, opuścił na twarz jej zasłonę i, nie rzekłszy słowa, odszedł. Tłum jął szeptać, wskazując nań, niektórzy, bardziej rzeczyświadomi, wyrzekli nazwisko Antonia de Rondinelli, dodając, iż jest to ukochany Ginevry, z miłości dla którego dziewczę zmarło.

Zmierzchno się. Obrzęd był skończony, tłum się jął rozchodzić. Monna Urszula pragnęła spędzić noc tę przy córce, lecz sprzeciwił się temu wój Matteo. Była ona tak wyczerpana bólem, iż obawiano się o jej życie.

W krypcie pozostał tylko fra Mariano, Dominikanin, mający modlić się za zmarłą.

Upłynęło kilka godzin. W ciszy nocy słychać było jedynie miarowy głos mnicha, a w przerwach bicie godzin na dzwonnicy—„campanilli” Giotta. Po północy fra Mariano uczuł pragnienie, wyjął z kieszeni flaszkę wina i — przechyliwszy głowę, pociągnął z upodobaniem kilka łyków.

Nagle zdało mu się, iż posłyszał ciche westchnienie. Jął nasłuchiwać. Westchnienie powtórzyło się i tym razem zauważył, że lekka zasłona na twarzy zmarłej jakby zadrżała. Zimne przerażenie przebiegło mu po plecach, lecz ponieważ był on nie nowicyuszem w swem zajęciu i wiedział o tem, że nie rzadko ludziom nawet oswojonym, gdy nocą znajdują się sam na sam z ciałem

martwem — dużo się przywidzieć może — zatem postanowił nie zwracać uwagi na nic, przeżegnał się i dźwięcznym głosem ciągnął swe modlitwy. I znowuż przeszła chwila jakaś. Nagle głos mnicha urwał się, twarz mu się wyciągnęła; skamieniał, wytrzeszczywszy oczy. Teraz już nie westchnienie, lecz słaby, cichy jęk wzdobył się z ust nieboszczki—fra Mariano już nie miał wątpliwości. Widział, jak wolno podnosiła się i opadała pierś zmarłej, poruszała się zasłona i zmarła oddychała. Żegnając się, drżąc na całym ciele, rzucił się do drzwi i wyskoczył z krypty.

Przyszedłszy do siebie na powietrzu i pomyślawszy, że uległ złudzeniu — wyszeptał kilkakrotnie Ave Maria, wrócił znów do drzwi, zajrzał do grobowca. Krzyk przerażenia wyrwał się mu z ust: zmarła siedziała w trumnie z otwartymi oczyma. Fra Mariano jął uciekać, nie oglądając się, uciekał przez cmentarz, przez plac Battistiera San-Giovanni, ulicą Ricasoli, jedynie sandały drewniane mnicha dzwoniły po zmarzłym bruku.

Ginevra Almieri, ocknąwszy się ze snu czy też z omdlenia — ze zdziwieniem oglądała mogilę. Na myśl, że pochowano ją żywcem, przerażenie nią owładnęło, zrobiła rozpaczny wysiłek, wyszła z trumny i—otulając się całunem—drzwiami, otwartymi przez mnicha, wyszła na cmentarz, a następnie na plac przed katedrą. Po przez rozdarte wiatrem obłoki, przedzierało się światło księżyca, a w świetle tem bielila się marmurowa dzwonnica Giotta. Myśli Ginevry mąciły się, w głowie — kręciło: zdało jej się, że dzwonnica wraz



z nią unosi się w chmury księżycowe, chwilami nie rozumiała dobrze, czy żywą jest, czy umarłą, sen li to czy jawa.

Nie zdając sobie sprawy, gdzie idzie, przeszła kilka pustych ulic, zobaczyła dom znajomy, zatrzymała się, podeszła do drzwi, zastukała. Był to dom wuja Matteo.

Handlarz wełny mimo spóźnionej pory czuł jeszcze. Oczekiwał umyślnego z wiadomością o dwóch okrętach handlowych, mających powracać z Konstantynopola. Nadeszły wieści, że w pobliżu brzegów Livorna burza rozbiła wiele felluk i wielki galar i wuj Matteo obawiał się, by między tymi nie znalazły się i jego statki. Że zaś nocą uczuł głód, więc przykazał, swej służącej Nencii, rudej, ładnej dziewczynie o zębach białych, jak mleko, by spiekła mu na rożnie kapłona. Wuj Matteo wiódł życie starokawalerskie, lecz zawsze w domu jego były młode, urodziwe służące. Tej nocy siedział on w kuchni, przy ognisku, bowiem w pokojach panował chłód.

Nencia, zarumieniona, zakasawszy rękawy kręciła nad jasnym ogniem rożen i wesoly płomień odbijał się w błyszczącej polewie garnczków i półmisków, rozstawionych na półkach.

— Nenciu, czyś słyszała?—wyrzekł Matteo, nasłuchując.

— To wiatr. Nie pójdę. I tak jużście mię trzy razy, pędzali

— Jaki tam wiatr. Ktoś stuka. To pewnie posłaniec. Idź, otwieraj prędezej!

Gruba Nencia zaczęła wolno schodzić ze wschodów stromych, a wuj Matteo z góry, podnosząc latarnię, świecił jej.

— Kto tam?—zapytała służąca.

— To ja... Ginevra Almieri, — odrzekł za drzwiami słaby głos.

— Jezu, Jezu, nieczysta siła, — wyszepiała Nencia, nogi się pod nią ugięły; by nie upaść, schwyciła za poręcz schodów. Matteo pobladł i omal nie upuścił latarni.

— Nencia, Nencia, otwórz prędszej, — błagała Ginevra.—Pozwól ogrzać się, tak mi zimno. Powiedz wujowi, że to ja...

Służąca mimo swą tuszę wbiegła tak szybko po schodach, iż tylko deski pod jej nogami trzeszczały.

— Otóż i wasz posłaniec! Doczekał się pan. A mówiłam wam, mr. Matteo, byś szedł spać, jak wszyscy porządni chrześcijanie. Aj, aj... znowuż puka słyszy pan? jęczy biedna duszyczka, i jak smutnie! Boże, zmiłuj się nad nami grzesznymi. Św. Wawrzyńcze módl się za nami!...

— Słuchaj Nenciu, — rzekł wuj głosem niepewnym, — pójdę, zobaczę, co to tam takiego.

Kto wie, może...

— Tego jeszcze brakowało,—krzyknęła Nencia, klasnąwszy w ręce, — widzicie, jaki odważny! Niby was puszczyć. Chcecie na tamten świat, czy co? Niema co się wałęsać, siedźcie, póki co gorszego nam się nie stanie.

Dostawszy z półki szklanekę wody święconej, Nencia pokropiła zamknięte drzwi domu, schody,

kuchnią i samego mr. Matteo. On też nie śpierał się dłużej, poddał posłusznie radom służącej, zaczynając wierzyć, że ona lepiej wie, jak się winno obchodzić z widmami.

Nencia głośno wymówiła zaklęcie:

— Duszo świątobliwa odejdz w pokoju; zmarła do zmarłych. Boże, daj jej wieczne spoczywanie.

Ginevra, usłyszawszy, że nazwano ją martwą, zrozumiała, iż niema czego dłużej tu czekać, wstała z progu, na który opadła znużona i powlokła się dalej, by szukać sobie schronienia.

Z trudem poruszając zmarznięte nogi, doszła do sąsiedniego przytułku, w którym znajdował się dom jej męża, m-ra Francesco degli Agolanti.

Sekretarz florenckiej segnoryi pisał właśnie długi, filozoficzny wykład po łacinie, w celu przesłania go przyjacielowi swemu, Muciuszowi degli Uberti z Medyolanu, gorliwemu, równie jak on sam, czcicielowi starożytności. Był to cały traktat p. t. „Rozprawa o nieśmiertelności duszy z powodu śmierci ukochanej mej małżonki, Ginevry Almieri.” Mr. Francesco porównywał naukę Arystotelesa z nauką Platona, odpierając mniemanie Tomasza z Akwinu, dowodzącego, że filozofię Stagirita można godzić z dogmatami katolickiego Kościoła o raj, piekło i czyśćcu; natomiast m-r Francesco dowodził wielu mądrymi i oczywistymi sylogizmami, że nie nauka Arystotelesa, który był w istocie ukrytym sceptykiem i ateuszem, a nauka wielkiego czciciela bogów, Platona, zgadza się z wiarą chrześcijańską.

Równym płomieniem gorzała miedziana lampa, zawieszona nad pochyłą deską stołu z drzewa toczonego, pełnego szuflad i przedziałów dla papierów, atramentu, piór. Forma lampy wyobrażała Trytona, obejmującego Oceanidę, bowiem m-r Agolanti nawet w drobiazgach lubił naśladować wzory starożytne. Na drogocennym pergamencie, delikatnym, jak jedwab, twardym, jak kość słoniowa, świeciło złoto, uśmiechały się główki tańczących amorków, czy też aniolków, wśród girlandy kwiecia.

M-r Francesco jął był właśnie z teologicznego punktu widzenia rozpatrywać naukę metempsychozy t. z. przechodzenia dusz, przy tej sposobności dowcipnie żartując z pitagorejczyków, którzy, jak wiadomo, nie jadają bobu, gdyż, według nich, zamieszkują go dusze przodków,—gdy dało się słyszeć lekkie stuknięcie w drzwi. Ściągnął brwi, bowiem nie znosił żadnego przy pracy hałasu, pracując z tego powodu najczęściej nocą, by nikt mu nie mógł przeszkodzić.

Niemniej podszedł do okna, otworzył je, wyjrzał na ulicę i przy bladym świetle księżycowym ujrzał zmarłą Ginevrę, otuloną całunem.

Momentalnie, zapominając Platona i Arystotelesa, m-r Francesco zatrzaskał okno, zanim Ginevra zdążyła wyrzec jakieś słowa i z zabobonnym strachem jął się żegnać, szepcząc Ave Maria, zupełnie tak samo, jak przed chwilą czyniła to Nencia.

Niemniej oprzytomniał wkrótce, zawstydził się swego tchórzostwa, przypomniał sobie to, co

mówią aleksandryjscy neoplatonicy, Prokles i Porfiry, o ukazywaniu się nieboszczyków, mianowicie, iż demony, istoty rodzaju średniego, dwoiste, żyjące między ziemią a niebem, czasem w dobrym celu, jako prorocy, czasem zaś w złym, by straszyc ludzi — biorą na siebie postać przejrzystą, mającą podobieństwo do kogoś ze zmarłych. Tworzą się ciała te z wilgotnego powietrza, zgęszczonego zimnem, lub też, według mniemania innych, z bezbarwnej, przejrzystej, płomiennej materii, z której składają się i niższe roślinne dusze tworów tak rozumnych, jak i nierozumnych, żyjących na ziemi. Wspomniawszy to wszystko i wyjaśniwszy sobie temi logicznemi dowodzeniami to, czego tak się wystraszył początkowo, m-r Francesco uspokoił się ostatecznie, otworzył znowuż okno i wymówił głosem ostrym:

— Kimkolwiekbyś był, duchem niebieskim, czy ziemnym, odejdz tam, skąd przyszedłeś, bowiem napróżno chcesz wystraszyć tego, czyj umysł rozjaśnia światło filozofii wyższej. Możesz zwieść oczy me cielesne, lecz nie duchowe. Odejdz więc duszo w pokoju do sfer rajszych—zmarła do zmarłych.

I zamknął okno tym razem na dobre, z zamiarem nieotwierania go, choćby stukwały weń cale legiony smutnych przywidzeń.

A Ginevra poszła dalej, będąc zaś niedaleko Starego Rynku, wkrótce ujrzała dom swej matki

Monna Urszula klęczała przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, a przy niej znajdował się surowy braciszek Giacomo, o twarzy bladej, wyniszczono



nej postami. Oczy, pełne przerażenia, podniosła ku niemu.

— Co robić, ojciec mój? Dopomóż mi. W duszy mej niema pokory, ni modlitwy. Zdaje mi się, że Bóg mnie odstąpił, a dusza ma skazana na zagładę.

— Poddaj się Bogu we wszystkim — przekonywał ją mnich. — Nie szemraj, pokonaj głos buntowniczy krwi, bowiem nadmierna twa miłość dla córki pochodzi z krwi, nie z ducha. Bolej nie nad tem, że córka twa zmarła, a raczej smuć się tem, iż stanęła przed sądem Najwyższego bez rozgrzeszenia i żalu, jako wielka grzesznica.

W tej właśnie chwili zastukano do drzwi.

— Mamo, mammo, to ja—puść mnie prędzej!

— Ginevra!—krzyknęła monna Urszula, rzucając się ku drzwiom, lecz mnich ją zatrzymał.

— Gdzie? bezrozumna! Córka twa leży już w grobie aż do dnia zmartwychwstania. To zły duch kusi cię głosem córki, głosem krwi i ciała. Ukorz się i módl się, póki jeszcze nie jest późno, módl się za siebie i za grzeszną duszę Ginevry, byście obie uniknęły zguby.

— Mamo, czy nie słyszysz? czyż nie poznajesz mego głosu? To ja—żywa, a nie martwa.

— Puść mię, ojciec, puść mię...

Wówczas fra Giacomo podniósł rękę i wyszeptał:

— Idź, lecz pamiętaj, że w tejże chwili skazujesz duszę własną i duszę Ginevry na wieczną stratę. Bóg cię potępi na wieki.

W twarzy mnicha była taka nienawiść, oczy

plonęły takim ogniem, iż monna Urszula zawahała się pełna przerażenia, złożyła ręce gestem błagalnym i, wyczerpana, upadła mu do nóg.

Fra Giacomo zwrócił się ku drzwiom, nakreślił na nich znak krzyża i wyrzekł:

— W imię Ojca, Syna i Ducha świętego. Zaklinam cię na krew Chrystusa, rozpiętego na krzyżu.—Zgiń, przepadnij, Nieczysty! Miejsce nasze święte. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

— Mamo, mamó, zlituj się nademną, umieram!

Matka raz jeszcze drgnęła, wyciągnęła ręce w stronę głosu córki, lecz rozdzielił je mnich bezlitosny, jak sama śmierć.

A Ginevra upadła na ziemi i, czując, że umiera, podgięła pod siebie kolana, objęła je rękoma, zwiesiła głowę i postanowiła nie ruszyć się więcej, nie wstać stąd. „Martwi nie powinni wracać między żywych”—pomyślała—i w tejże chwili wspomniała Antonia. „Czyżby i on mnie odpedził od siebie?” Pierwej już myślała o nim, lecz powstrzymywało ją uczucie wstydu, gdyż nie chciała iść do niego nocą, sama jedna, będąc żoną innego. Lecz teraz, gdy dla wszystkich swych żywych była martwą, czyż to nie wszystko jedno?

Księżyc się schował; góry, pokryte śniegiem, bielily się pod rannem niebem. Ginevra powstała z progu domu swej matki. Nie znalazłszy schroniska u swoich, szła do obcego.

W okolicy Ponte Vecchio w pracowni swej, m-r Antonio pracował całą tę noc nad woskowym

portretem Ginewry. Nie zauważył kiedy przeszły godziny nocy a w okrągłych, szklanych oknach zamajaczył blady świt chłodnego poranku. Artystę pomagał w robocie ulubiony jego uczeń, Bartolino, 17 letni młodzieniec jasnowłosy, urodziwy jak dziewczyna.

Twarz Antonia wyrażała spokój. Miał wrażenie, że wskrzesza pracą swą zmarłą i daje jej nowe, nieśmiertelne życie: powieki opuszczone posągu jakby drżały, pierś się wznosiła, w cienkich żyłkach na skroniach zdała się pulsować krew.

Skończył był właśnie robotę, starając się nadać wargom Ginewry uśmiech niewinny — gdy w drzwiach rozległo się lekkie stuknięcie.

— Bartolino,—rzekł Antonio, nie odrywając się od roboty,—otwórz, proszę.

Uczeń podszedł do drzwi, zapytując:

— Kto tam?

— Ja, Ginewra Almieri — odrzekł zaledwie dosłyszalny, podobny do tchnienia wiatru — głos.

Bartolino odskoczył w drugi koniec pokoju blady i drżący.

— Martwa!—szeptał, zegnając się.

Lecz Antonio poznał głos swej ukochanej, poskoczył, rzucił się na Bartolina, wrywając mu klucz z ręki.

— M-r Antonio, opamiętaj się, co robisz? — szeptał uczeń, stukając z trwogi zębami. Lecz już Antonio podbiegł ku drzwiom, otwarł je, ujrzał Ginewrę leżącą na progu: w świetle ranka bielił się całun grobowy, a szron był na włosach jej.

Lecz Antonio się nie uląkł, gdyż w sercu swem miał głęboką litość.

Pochylił się ze słowami miłości, uniósł ją i na rękach wniósł do domu.

Położył na poduszkach, przykrył, otulił, a Bartolina wysłał po starą gospodynię, od której wynajmował pracownię, na kominku rozniecił ogień, zagrzał wina i jął wlewać w ściśnięte usta Ginewry. Lżej odetchnęła i—choć jeszcze nie zdolna wymówić słowo—otwarła oczy. Serce Antonia napełniła radość.

— Zaraz, zaraz, — powtarzał, krzątając się i biegając po pokoju,—przyjdzie zaraz gospodyni i wszystko urządzi się. A proszę, nie gniewaj się, madonno Ginewro, taki u mnie nieporządek...

I wstydził się i czerwienił za swe gospodarstwo biedny m-r Antonio. Pociągnął i opuścił wiszący na bloku koszyk, wyjął zeń pieniądze, podał Bartolinowi, przykazując mu biegnąć na rynek dla zakupu mięsa, chleba, warzyw na śniadanie, a gdy nadeszła gospodyni, zamówił u niej gorącą zupę z kury z taką powagą, jakby szło o zbawienie własnej duszy.

Uczeń wybiegł po zakupy, gospodyni poszła zarzynać kurę. Antonio został sam na sam z Ginewrą.

Zawołała go i gdy ten ukląkł przy niej, opowiadała mu wypadki ubiegłej nocy.

— Drogi mój,—rzekła w końcu — ty jeden nie zląkłeś się, gdy przyszłam do ciebie, ty jeden mnie kochasz.

— Chcesz, bym wezwał tutaj rodzinę twą: wuja, matkę lub męża?—pytał Antonio.

— Nie mam dziś rodziny—ni męża, ni wuja, ni matki. Wszyscy oni obcy, bom ja dla nich martwa, tylko dla ciebie jednego żywa, więc z prawa do ciebie jednego należę.

Pierwsze promienie słoneczne rozjaśniły okno. Uśmiechnęła się do słońca Ginewra, a w miarę tego, jak promienie jego jęły się roz-palać — rumieniec życia zaróżowił jej lica, a w cienkich żyłkach skroni zapulsowała szybciej krew. A gdy Antonio, pochyliwszy się nad nią, objął ją i pocałował w usta, zdało się jej, że słońce ją wskrzesza i daje nowe, nieśmiertelne życie.

— Antonio, — wyrzekła Ginewra, — błogosławię śmierć, gdyż ona nauczyła nas kochać, błogosławię miłość, która okazała się silniejszą, niżli śmierć!

K O N I E C.



INSTITUT  
LITERACJI  
BIBLIOTEK  
10-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 12  
Tel. 26-68-09

**Przypominamy Szanownym  
Prenumeratorom, że czas od-  
nowić przedpłatę na rok 1914.**



WYCIĄG Z KATALOGU

**BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH**

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Sienna № 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

**Rok 1908.**

		CENA	
		w opr. brosz	kop. kop.
517, 518.	Gabriel Sarrazzin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz. —Słowacki,—Krasieński. Przekład z francuskiego Waclawy Kiślańskiej, z przedmową Jana Lorentowicza	1.10	80
519.	Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI	55	40
520. 521, 522.	Marion. MIRAŻE. Powieść. Wydanie drugie	1.65	1.20
523.	RADCA STANU A. KOLB JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G.	55	40
524.	Conan Doyle. CZTEREJ. (The sing of four)		
525.	MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skłesał Jan Bleszyński	55	40

Tom		CENA	
		w opr. brosz. kop.	kop.
526.	<b>Stanisław Ostrowski.</b> A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku	55	40
527, 528, 533.	<b>Juljusz Falkowski.</b> WSPOMNIE- NIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmo- wą Tadeusza Gruzewskiego	1,65	1,20
529.	<b>Artur Schnitzler.</b> ŚMIERĆ. Nowela z przed- mową Adolfa Strzeleckiego	55	40
530.	<b>Aleksandra Suszczyńska.</b> INACZEJ. No- wele	55	40
531.	<b>Willia Zyndram - Kościółowska.</b> SZIKCE LITERACKIE. II Prometeusz	55	40
532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545.	<b>Teodor Dostojewski</b> BIESY. Tłomaczył T. K.	4,40	3,20
534, 538.	<b>Maurice Leblanc.</b> WYTWORNY WŁA- MYWACZ. Przekład J. P.	1,10	80
540.	<b>Wiktor Gomulicki.</b> OPOWIADANIE O STA- REJ WARSZAWIE. Serya II	55	40
542.	<b>Ryszard Jefferies</b> HISTORIA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z an- gielskiego A. Z.	55	40
544.	<b>Eliza Orzeszkowa.</b> WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego	55	40
546.	<b>Tadeusz Jaroszyński.</b> DWIE NOWELE	55	40
547, 548.	<b>Aleksander L. Kelland.</b> NAPOLEON I JEGO LUDZIE, przekład Maryi Kre- czowskiej	1,10	80
549.	<b>Conan Doyle.</b> Z PRZYGOD SHERLOCKA HOLMESA. Tom. z angielskiego Bron- nislawa Neufeldówna	55	40
550.	<b>Herman Hejermans.</b> W PRZESTRZENI. (Humoreska z niedalekiej przyszłości). Przełożyła Z. W.	55	40
551, 552, 553.	<b>Teod. Tom. Jeż.</b> ZARNICA. Po- wieść bułgarska	1,65	1,20
554.	<b>Gabryel d'Annunzio.</b> MIASTO UMARŁE. Tragedya w pięciu aktach, przełożyła z włoskiego J. Dyżewska	55	40
555, 556.	<b>Eugeniusz Checchi.</b> GARIBALDI. Przełożył z włoskiego D-r. Stanisław Kozicki, z przedmową Władysława Ja- błonowskiego, Powieść. Tom. z angiel- skiego Bronislawa Neufeldówna	55	40
557, 558.	<b>Józef Konrad (Korzeniowski).</b> TAJNY AGENT. Przekład z angielskiego M. G.	1,10	[80



Tom.	CENA	
	w opr. brosz. kop.	kop.
559, 560, 566. Jędrzej Śniadecki PISMA SA- TYRYCZNE. Do druku przygotował i przedmową opatrzył Dr. Adam Wrzosek	1.65	1.20
561. POLSKA jako rycerz wśród narodów, według Louis'a E. Van Normana, z przed- mową Heleny Modrzejewskiej-Chłapo- wskiej. Opracowała Emilia Węslawska	55	40
563, 64. Prévost. LISTY FRANI MĘŻATKI	1.10	80
565. J. Mikulicz. KRÓLEWIANKA	55	40
567, 568. Hejermans. MIASTO DYAMENTÓW	1.10	80

### Rok 1909.

569, 570. A. Gruszecki. ZALOTY BIUROKRA- TY. Powieść 2 tomy	1.10	80
571. J. Andruszewski. NASTROJE 1 tom	55	40
572. Wł. Jagniatkowski. KARTKI Z PODROŻY PO INDO-CHINACH 1 tom	55	40
573. M. Raczyńska. MOIZES. Powieść 1 tom	55	40
574. Z. Sokołowska. SYCYLIA I KALABRIA. Wrażenia z podróży 1 tom	55	40
575, 576. Wiktor Gomulicki. ON I ONA. Po- wieść 2 tomy	1.10	80
577. Papus. WIEDZA MAGÓW 1 tom	55	40
578, 579. Z. Ćwirko. PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy	1.10	80
580. Emil Reyeh NIEMCY WSPÓŁCZESNE 1 tom	55	40
581—582. Abgar Sołtan. POLUBOWNA UGO- DA. Powieść 2 tomy	1.10	80
583. J. Bourdeau KIEROWNICY MYSLI WSPÓŁCZESNEJ 1 tom	55	40
584. Robert-Louis-Stevenson. DZIWNA HISTO- RYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDEA 1 t.	55	40
585. Gryf. NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586. M. Arcybaszew. ŚMIERĆ LAUDEGO 1 t.	55	40
587. NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELE- NY. Pamiętnik hr. Balmaina. Przetłumaczył Maciej Wierzbński 1 tom	55	40
588—589. M Czerny. ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590. L. Paul-Dubois. IRLANDYA WSPÓŁ- CZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40
591. W. Lutosławski. JAK TANIO PODRO- ZOWAC? Wędrowki iberyjskie 1 tom	55	40

		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
592.	Władysław Renard. ONE 1 tom	55	40
593—594.	Lafcadio Hearn, LOTOS 2 tomy	1.10	80
595.	Ignacy Grabowski. PAMIĘTNIKI RUPIE CIA 1 tom	55	40
566—597.	Ludwik Włodek. NA ZIEMI WA- SZYNGTONA 2 tomy	1.10	80
598—600.	Selma Lagerlöf. DZIWY ANTY- CHRYSTA. Powieść 3 tomy	1.65	1.20
601.	CZĘSTOCHOWA. Opracował Włodzimierz Trampczyński	40	25
602—603.	Antonio Fogazzaro. TAJEMNICA PO- ETY. Z 26-go wydania włoskiego prze- łożyła Natalia Nagórna	1.10	80
604—605.	Charlotte Perkins Gilman. KOBIETA A STAN EKONOMICZNY. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z ory- ginału angielskiego Marya Podlewska	1.10	80
606—	607. Linankoski. KRWAWE KWIAŁY. Z fińskiego przełożyła Klemensiewi- czowa	1.10	80
608.	Monty Jacobs. MAETERLINCK. Studium krytyczne. Przekład Maryi Kreczow- skiej	55	40
609.	Ida Pilecka. Z ZA SWIATA. Nowela	55	40
620—611.	Björnstjerne-Bjornson. MARY. Po- wieść 2 tomy	1.10	80
612—613.	V. Blasco Ibanez. KATEDRA. Po- wieść 2 tomy	1.10	80
614—615.	Jagniątkowski. POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ 2 tomy	1.10	80
616.	Jerome-Jerome. TOMCIO i Sp. Humoreski	55	40
617.	Kazimierz Laskowski (El). EKONOM TRA- GIK. Obrazek z życia wiejskiego.	55	40
618.	W. Gomulicki. OPOWIADANIA O STA- REJ WARSZAWIE. 3 serya	55	40
619.	Pamiętnik N. J. Mamajewa. ROSYANIN W POLSCE w latach 1838—1842	55	40

### Rok 1910.

620, 621.	Kazimierz Przerwa-Tetmajer. ZATRA- CENIE. Romans	1.50	1.20
622, 623.	Ludwik Jenike. ZE WSPOMNIEN	1.10	80

Tom.	CENA	
	w opr. brosz. kop.	kop.
624, 625. <b>Wincenty Kosiakiewicz. JEJ CHŁOPCY.</b> Powieść	1.10	80
626, 627, 629, 631, 637, 638. <b>PAMIĘTNIKI JANA DUKLANĄ OCHOCKIEGO</b>	3.30	2.40
628. <b>Juliusz Zeyer. KRÓL MENKERA.</b> Tłómaczyła z czeskiego Julia Kreczyńska	55	40
630. <b>M. Jackiw. WIECZORNE PSOTY.</b> Nowele ukraińskie	55	40
632, 633. <b>W. Tan. OFIARY SMOKA.</b> Romans z życia pierwotnego ludzkości	1.10	80
634. <b>Wacław Abramowski, inżynier. LATAWCE (Aeroplany)</b>	75	—
635. <b>Prof. D-r Marcin Ernst. O KOŃCU SWIATA I KOMETACH.</b>	55	40
636. <b>H. Bosma. DZIECI NERWOWE.</b> Uwagi lekarskie, wychowawcze i ogólne. Przełożył Dr. Kazimierz Niedzielski	55	40
639. <b>Cecylia Walewska. JAK LIŚC ODERWAŁY OD DRZEWA.</b> Powieść	55	40
640, 641, 642, 643, 644. <b>Teodor Jeske-Choiński. OSTATNI RZYMIANIE.</b> Powieść z czasów Teodozjusza Wielkiego	2.75	2.50
645. <b>Eliza Orzeszkowa. ASCETKA.</b> Powieść	55	40
646, 647, 648. <b>E. T. A. Hoffmann. DYABLE ELIKSYRY.</b> Przełożył Ludwik Eminowicz	1.65	1.20
649. <b>Aleksander Bolesław Brzostowski. CI, KTO RYCH ZNAŁEM.</b> Garść luźnych wspomnień, opisów i wrażeń	55	40
650. <b>Józef Miłkowski. Ze wspomnień legionisty. WYPRAWA DAHOMEJSKA</b>	55	40
651, 652, 653, 655, 656. <b>ŻYWOT BENVENUTA CELLINIEGO.</b> Własnoręcznie spisany we Florencyi. Z oryginału przełożył i przypisami opatrzył Stanisław Machniewicz	2.75	2.00
654. <b>Domańska. BŁASKI.</b> Powieść	55	40
657. <b>Ory Jelska. PANTA REJ.</b> Powieść	55	40
658. <b>Dr. K. Rakowski. TRZY LATA W WIEZIENIU PRUSKIEM</b>	55	40
659, 660, 661. <b>Paul Adam. CZARNY WĄŻ.</b> Powieść	1.65	1.20
662. <b>M. Bölsche. ZWYCIĘSKI POCHÓD ŻYCIA</b>	55	40
663, 665, 667. <b>M. Rakowska. ZARYS LITERATURY ANGIELSKIEJ</b>	1.65	1.20

CENA  
w opr. brosz.  
kop. kop.

664.	A. Wierbickaja. MOTYLE. Przekład z rosyjskiego	55	40
666.	Nesbit. DARY. Powieść.	55	40
668,	669. Szalom Asz. MIASTECZKO. Powieść z hebrajskiego	1,10	80
670.	Karin Michaelis. BEATA ROSA. Powieść	55	40

### Rok 1911.

671,	672. Marya Rodziewiczówna. MAGNAT	1.10	80
673.	Szymon Tokarzewski. POŚROD CYWILNIE UMARŁYCH. Obrazki z życia Polaków na Syberyi	55	40
674,	675, 676, 677. Gabryela Zapolska. JANKA. Powieść	2.20	1.60
678.	Pöhn. KSIĘGA MĄDROŚCI ŻYCIA	55	40
679,	680. Witold Szyszło. POD ZWROTNIKAMI	1.10	80
681.	Zygmunt Różycki. FIGLE MŁODEGO SATYRA	55	40
682	683. Anatol France. PAMIĘTNIK MEGO PRZYJACIELA. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej	1.10	80
684,	685. Alexy Kurcyusz. BRAZYLIA.	1.10	80
686.	Tadeusz Konczyński, ŚLADEM TĘSKNOTY. Powieść	55	40
687.	Przerwa-Tetmajer. OTCHŁAŃ. Powieść	55	40
688,	689. Alfred Binet. POJĘCIA NOWOCZESNE O DZIECIACH	1.10	80
690,	691. PAMIĘTNIK HENRYKA DEMBINSKIEGO generała wojsk polskich	1.10	80
692,	693. Teodor de Wyzewa. GWALBERT, czyli opowiadanie młodego człowieka	1,10	80
694.	Pamiętniki ks. Maryi Wołkońskiej	55	40
695,	696. I. Wazow. W WALCE O WOLNOŚĆ, z bułgarskiego powieść	1.10	80
697—709.	Lew hr. Tołstoj. WOJNA I POKOJ. Rok 1812. Romans historyczny	6.00	4.00
710.	Konstancja Bielska. JEDENASTE PRZYKAZANIE. (Nie będziesz miał serca)	55	40
711,	712. Andrzej Lichtenberger. NASZA MIŁNIA. Powieść. Przekład z francuskiego Wacławy Kiślańskiej	1.10	80
713.	Wiktor Gomułicki. DWA ROMANSE	55	40
714.	M. Helys. KWIATY Z ZAMKNIĘTEGO		

		CENA	
		w opr.	broosz.
		kop.	kop.
	OGRODU. Szkice z życia kob. w Turcyi	50	40
715, 716.	Ks. d'Abrantès. CESARZOWA JOZEFINA. Pamiętnik z czasów I cesarstwa	1.10	80
717.	Juhani Aho. DO HELSINGFORSU. Powieść z fińskiego, tł. Klemensiewiczowa	55	40
718, 719.	Rudyard Kipling. ZWODNE ŚWIATŁO. Powieść	1.10	80
720.	Józef Jankowski. MAGIA PIĘKNOŚCI	1.10	75
721.	Zygmunt Michałowski. LISTY DZIKIEJ JADZI	55	40
722.	Jerome K. Jerome. UMIEJĘTNOŚĆ POSTĘPOWANIA Z KOBIETAMI	55	40

### Rok 1912.

723.	Żnziejewska. ZDALEKA I ZBLISKA	55	40
724.	K. Tetmajer. ZAWISZA CZARNY. Obraz dramatyczny	55	40
725, 726.	M. Rodziewiczówna. NIEOSWOJONE PTAKI	1.10	80
727.	Ejmond. BAJKI I PRAWDY	55	40
728, 729.	W. Kosiakiewicz. GĄSIORKOWSKI.	1.10	80
730, 731, 732, 733.	G. Żapolska. SZMAT ŻYCIA.	2.10	1.60
734.	M. Garzia. ZE ŚWIATA WEWNĘTRZNEGO ROZMYŚLANIA, przeł. z hiszpańskiego J. Lutosławska	55	40
735.	Brzostowski. ZE WSPOMNIEN O KRASZEWSKIM	55	40
736, 737, 738.	Ignat Herrmann. TEŚC KONDELIK I ZIEĆ WEJWARA. Powieść	1.65	1.20
739 740.	Wł. Jaglątkowski. NA BRZEGACH SENEGALU. Z przygód polskich na obczyźnie	1.10	80
741.	Pabst. WYCHOWANIE PRAKTYCZNE	55	40
742, 743.	Ks. Radziwiłłowa (LUDWIKA PRUSKA, Rok 1770—1815). Pamiętniki	1.10	80
744, 745.	Edmund Chojecki. (CHARLES-EDMOND) HARALD. Powieść	1.10	80
746.	A. Dygasiński. AS. Powieść	65	50
747.	P. A Sinett. ŚWIAT TAJEMNY	55	40
748.	W. Rapacki (Senior). OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI	55	40
749, 750, 751.	J. Kraszewski. NERA. Powieść	1.65	1.20
752—760.	Hr. Lew Tolstoj. ANNA KARENIENA. Powieść.	4.95	3.60



		CENA	
		w opr.	broosz.
		kop.	kop.
761—763.	M. Gawalewicz. DRUGIE POKOLENIE. Powieść	1.65	1.20
764, 765.	Selma Lagerlöf. ZWIĄZKI NIEWIDZIALNE	1.10	80
766—768.	Hr. de Ségur. PAMIĘTNIKI ADJUTANTA CESARZA NAPOLENA I	1.65	1.20
769.	L. Romocki. SZCZEŚCIE ZBOSKICH. Kronika rodziny polskiej w XIX wieku	55	40
770.	St. Kozicki. SPRAWA WSCHODNIA.	55	40
771.	Józef Maciejowski. Z DZIENNIKA PENSYONARKI. Romans	55	40
772.	Z Krasieński. WYBÓR POEZYI	1.15	75

### Rok 1913.

773.	Włodz. Perzyński. PANI CZAJKOWSKA	55	40
774 — 775.	Marya Rodziewiczówna. MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU	1.10	80
776.	Seweryn Bukar. PAMIĘTNIKI Z KOŃCA XVIII i POCZĄTKÓW WIEKU XIX	55	40
777 — 779.	Gabryela Zapolska. WE KRWI. Powieść współczesna	1.65	1.20
780.	Julian Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYMICZNE	90	75
781—783.	Anna Vivanti. POZERACZE (I diavoratori). Powieść	1.65	1.20
784, 785.	Hr. Sierakowski. LISTY Z PODROŻY. 1) Podróż do Jerozolim, 2) Podróż do Włoch. 2 tomy	1.10	80
786, 787.	J. Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYMICZNE. 2 tomy.	1.30	1.00
788, 789.	Kazimierz Przerwa-Tetmajer. HANNA MERY. Powieść. 2 tomy.	1.10	80
790, 791.	PAMIĘTNIK LADY FRANCISZKI SHELLEY (1787 — 1817). Czasy wielkich wojen napoleońskich i przewrotów politycznych na przelomie dwóch wieków w oświetleniu ówczesnego dworu i wyższego towarzystwa angielskiego	1.40	1.10
792—794.	K. Gliński. PAN FILIP Z KONOPI. Powieść	1.65	1.20
795.	G. Meyrs. JAK SIĘ DOCHODZI DO WIELKICH FORTUN	55	40
796.	Z. Rabska. LISTY MIŁOSNE	55	40

		CENA	
		wopr.	brosz.
		kop.	kop.
797.	<b>W. Szyszko.</b> WSRÓD MOCZAROW I JE- ZIOR FLORYDY	55	40
798.	<b>Hajota.</b> ŚLUBNA OBRAZKA	55	40
799—804.	<b>Teodor Dostojewski.</b> BRACIA KA- RAMAZOW	3.30	2.40
805 — 806.	<b>Adam hr. Sierakowski.</b> LISTY Z PODROZY (Grecya, Hiszpania, Egipt)	1.10	80
807, 808, 810.	<b>G. Wells.</b> HISTORIA P. POLLY (powieść)	1.65	1.20
809.	<b>M. Sizeranne.</b> NIEWIDOMY O NIEWI- DOMYCH	55	40
811.	<b>Adolf Dygasiński.</b> VON MOLKEN	55	40
812—813.	<b>Tad. Wyleżyński.</b> BITWA POD LIP- SKIEM (Lützen, Bantzen, Lipsk)	1.10	80
814—815.	<b>H. Romer-Ochenkowska.</b> MAJAKI (po- wieść)	55	40
816.	<b>Alexander Kraushar.</b> NEO-CYGANERYA, WARSZAWSKA.	55	40
817, 818.	<b>J. Ocdorowicz.</b> ZJAWISKA MEDYU- MICZNE	1.10	80
819.	<b>M. Kościelska.</b> SNOBY. Powieść	55	40
820.	<b>Jan Kowerski.</b> ROMANS PANNY JULII.	55	40
821.	<b>Ks. d'Alhrantes.</b> ROBESPIERRE.	55	40





ZAKŁAD  
ARTYSTYCZNO-GRAWERSKI

STANISŁAWA LIPCZYŃSKIEGO

Dostawy Towarzystw Sportowych

W WARSZAWIE

Marszałkowska 149.  
Róg Próżnej.

Telefon 134-84

## PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

MACZKA MLECZNA

NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla włą i dzieci.

<http://rcin.org.pl>

Towarzystwo Akcyjne  
**„Fr. Karpiński”**

**w Warszawie**  
ul. Elektoralna 35, telefon 600  
poleca

**Karpińskiego**  
**Mydło Alkaliczne**

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potysku-  
jącą skłoną do wągrów i pryszczycy, oraz przy  
łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

**Karpińskiego**  
**Mydła Alkalicznego Nr 2**

Cena kop. 40 za szt.

**Karpińskiego**  
**Mydła Ogórkowe**

hygieniczne, usuwające opaleniznę i plagi.

Cena kop. 50 za szt.

**Karpińskiego**  
**Mydło Neutralne**

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania  
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

**Żądać wszędzie**

<http://rcin.org.pl>



Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy  
i Skład Nasion

**C. ULRICH**

w Warszawie  Ceglana 11

---

Poleca w wielkim wyborze:

**N**ASIONA WARZYW  
NASIONA KWIATÓW  
NASIONA ROLNE  
NASIONA TRAW  
CEBULKI KWIATOWE

**D**rzewa owocowe w koronach  
Drzewa i krzewy ozdobne  
Drzewa alejowe i na solitery  
Róże pienne i krzaczaste.

SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY  
i DRZEWA LAUROWE.

<http://rcin.org.pl>

## IDEALNEM WANNY



nazwać można, bez wszelkich zastrzeżeń JOHNNA wannę „JAJAG” z podgrzewaczem spirytusowym. Kąpiel gotowa w ciągu pół godziny kosztem 12—15 kop. Do użytku o każdej porze i w każdym miejscu. Tysiące w użyciu. Opisy i ceny na żądanie darmo i oplatnie. Ważne dla prowincji.

Tow. Akc. J. A. JOHN, Warszawa, Smolna 12, telefon 3690

## St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH I

Z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

## BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

NOWOŚĆ

AMERYKAŃSKA MASZYNA DO DODAWANIA

### THE „GOLDEN GEM“



DODAJE RÓWNIE DOBRZE, JAK NAJDRÓŻSZE MASZYNY TEGO RODZAJU.

NIEODZOWNA PRZY PRACY BIUROWEJ.

MECHANIZM Z NAJLEPSZEJ STALI I MOSIADZU. NA ŻĄDANIE OPIS SZCZEG. BEZPŁATNIE.

WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO I SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO I CESARSTWO:

Cena 35 rb.

Bogusławski i Szczyrba, Warszawa,

Ś-to Krzyska II, telefon 195-52.

Na prowincję wysyła pocztą za zaliczeniem, po otrzymaniu zadatku rb. 5. Zamawiający 2 lub więcej maszyn kosztów przesyłki nie ponoszą.

Gabinety Dentystyczne

## ANTONIEGO

## MOKRZYCKIEGO

zostały przeniesione

na ul. Erywańską № 16.

DRUKARNIA

## L. BOGUSŁAWSKIEGO

WYKONYWA WSZELKIE ROBOTY DUKARSKIE

WARSZAWA, Ś-to Krzyska II

tel. 195-52.









F

20.511